

ISSN 1505-8476

informator



nr 183
sierpień 2004

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



W numerze:

POLCON według MARKA

ŚWIAT według JACKA

AMBROSE BIERCE I WAMPIRY

Do tego wstępniaka zainspirował mnie nocny seans kina grozy zaliczony w połowie sierpnia. Wtedy bowiem TVP 2 nadała trzeci film cyklu o meksykańskich (a chyba wręcz azteckich!) wampirach *Od zmierzchu do świtu*.

Zaznaczam z góry, że bynajmniej nie jestem żadnym fanem tegoż cyklu: dla mnie reprezentuje on to wszystko, czego w nurcie tarantinowsko-rodriguezowskim akurat nie trawię. Już pierwszy film (w reżyserii samego Rodrigueza, z Tarantino w jednej z głównych ról) pozostawił mnie mocno z boku. Mimo tego, iż byłem na nim w kinie! Owszem, doceniłem charakterystycję i pointę – ale całościowo był to dla mnie przykład takiego akurat „pomieszania z poplątaniem”, które nie wychodzi filmowi na dobre (w przeciwieństwie do, konsekwentnych w swej satyrze, *Urodzonych morderców*, *Pulp fiction* czy – pierwszego! – *Desperada*). Drugą część *Od zmierzchu do świtu* nigdy chyba nie trafiła do polskich kin (żał by mi zresztą było na bilet); obejrzałem ją, podobnie jak teraz część trzecią, w telewizji.

Dwójka była o wiele gorsza od jedynki – jedynym odkryciem był Robert Patrick w głównej roli (tu zupełnie inny niż ciekłometaliczny Terminator!). Trójka też nie wzbudziła mego entuzjazmu, chociaż docenić trzeba pracę kamery (ciekawe, chwilami nawet ciut manieryczne, zdjęcia) oraz główny pomysł scenariusza (przeniesienie akcji w początki XX wieku, więc w pewnym sensie obraz ten traktować można jak prequel). W filmie tym pojawia się też, jako jeden z pogromców wampirów, Ambrose Bierce.

Ambrose Bierce (1842-1913), postać autentyczna. Znakomity amerykański pisarz i dziennikarz. Niepokorny, cholernie inteligentny kpiarz; swym spojrzeniem na życie doprowadzający pewnie do szału wielu stróżów „tradycyjnych amerykańskich wartości”. Zaginał bez wieści w początkach drugiej dekady minionego wieku, podczas rewolucji meksykańskiej (do której miał zamiar się przyłączyć). Pod koniec ubiegłego roku – we wstępniaku zatytułowanym RLS – obiecałem, że poświęcę tu kiedyś miejsce dla humorystyczno-fantastycznej twórczości Marka Twaina. Pamiętam o tej obietnicy, może ją niebawem wypełnię, ale dziś tematem będzie – twórczość Bierce'a właśnie.

Był mistrzem krótkiej formy i zaskakującej pointy. Dwa najbardziej znane cykle jego nowel to obrazy z wojny secesyjnej oraz... fantastyka grozy.

Nowele wojenne są nie tylko bardzo krwawe „fizycznie”, ale przedstawiają też okrutne dylematy, jakie sytuacja frontowa postawić może przed człowiekiem. Pamiętam, jak podczas studiów te właśnie utwory Bierce'a pożyczyłem jednemu z przyjaciół (nb. temu, który wymyślił postać „wampiura”). Przeczytał je jednym tchem podczas ćwiczeń (omawiano właśnie *Rozdzióbią nas kruki, wrony*) – i stwierdził, że nowele Bierce'a są od noweli Żeromskiego o niebo lepsze! Tak, może się tu niektórzy nauczyciele polskiego oburzą, ale... chyba miał rację. W polskim utworze czuć może rozpacz narodu pozbawionego swego państwa, ale moralne dylematy wojny domowej czynią utwory amerykańskie ciekawszymi.

Z kolei fantastykę Bierce pisał w różnej tonacji: mamy tu zarówno opowiadania demoniczne (naprawdę przerażające), jak też fantastykę opierającą się na założeniach z pogranicza SF (choć nadal mającą głównie straszyć), przeurocze makabreski (chyba szczyty czarnego humoru), a nawet (dziwne u tego twórcy) poetyckie przypowieści. Polecam dwa wydane w Polsce zbiory jego nowel: *Jeździec na niebie*, z czytelnikowskiej serii „Nike” (bardzo szerokie spektrum twórczości pisarza!) oraz *Czy to się mogło zdarzyć?*, z serii „Fantastyka i groza” Wydawnictwa Literackiego (krótszy zbiorek z tylko tego gatunku...).

Tajemnicze zniknięcie Bierce'a zainspirowało bardziej współczesnych twórców. Najciekawszym przykładem jest na pewno powieść *Old Gringo* Carlosa Fuentes'a, literacka fantazja nt. udziału pisarza w meksykańskiej rewolucji (w filmowej adaptacji rolę tytułową zagrał sam Gregory Peck); najbardziej kuriozalnym – chyba trzecia część cyklu *Od zmierzchu do świtu*.

Jan Plata-Przechlewski

URODZINY

Towarzysze - Październikowi Jubilaci!

Z okazji 87 Rocznicy życzymy Wam:

- czekistowskiej wrażliwości,
- leninowskiego zdrowia,
- proletariackiego zapału,
- stalinowskiej łagodności,
- ... i wszystkiego najlepszego!

**z komsomolskim pozdrowieniem
Redakcja "Informatora"**



- 1 Jan Plata-Przechlewski
- 2 Bogdan Kałużny
Mieczysław Sierociński
- 3 Andrzej Zimniak
- 7 Marek Pazio
- 10 Rafał Gosieniecki
Krzysztof Grzywnowicz
Sławomir Zaręba
- 11 Jacek Zalewski
Michał Narożny
- 12 Rafał Lackorzyński
- 13 Wojciech Malak
- 18 Maja Szmigiel
- 19 Karolina Górską
- 21 Grzegorz Kozubski
Marcin Markowski
- 22 Piotr Cisakowski
- 29 Katarzyna Tańska
- 30 Lech Ugrićzic

FALKON 2004

W dniach 19 - 21 listopada br. odbędzie się już po raz piąty Ogólnopolski Konwent Miłośników Fantastyki FALKON, oczywiście w Lublinie. Głównym organizatorem imprezy jest Lubelskie Stowarzyszenie Fantastyki "Cytadela Syriusza" we współpracy z LKF "Syriusz" - wraz klubami i osobami związanymi z Forum Sciány Wschodniej.

Zapraszamy wszystkich do przyjazdu na naszą imprezę, a będzie mnóstwo interesujących rzeczy. W ciągu trzech dni odbędzie się około 150 punktów programu wpisanych w następujące bloki:

- spotkania z pisarzami i redakcjami (obecnych będzie wielu znanych i popularnych literatów, mamy nadzieję na obecność wszystkich redakcji pism fantastycznych)
 - prelekcje ogólnofantastyczne i popularnonaukowe (w wykonaniu, w wielu przypadkach, pracowników naukowych - głównie - lubelskich uczelni)
 - mangi, anime i kultury japońskiej
 - konkursy (odbędzie się około 18 konkursów)
 - konkursy, czyli zabawne konkurencje (kilkanaście)
 - prelekcje rpgowe x 2 (jeden blok tworzony przez wydawców rpg w Polsce, zaś drugi przez osoby zajmujące się przede wszystkim hobbystycznie rpg, poza tym sesje rpg w systemie karteczkowym z nagrodami dla mg)
 - "dla tych, którzy pierwszy raz" (czyli dla początkujących konwentowiczów, krótki blok, odbywający się jedynie w piątek)
 - filmy (mnóstwo klasyki i staroci... ach te majątkowe prawa autorskie...będą też fan-filmy)
 - gry bitewne (turnieje, nauka malowania, prezentacje i oczywiście możliwość gry)
 - gry karciane (turnieje i prezentacje oraz możliwość spontanicznych gier)
 - gry komputerowe (turnieje i prezentacje)
 - LARPy
 - pokazy (walk, tańców, warsztaty z płasów i wiele innych atrakcji)
- Każdy uczestnik otrzyma 36-stronicowy informator, identyfikator oraz niespodziankę.

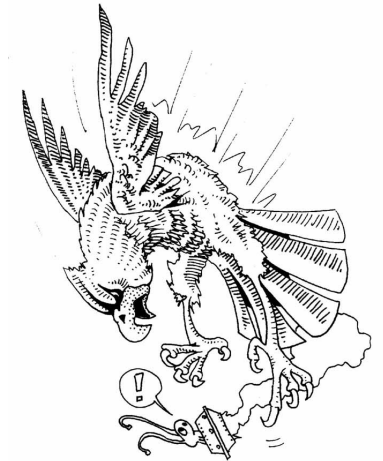
Koszt: 25 zł za cały konwent.

Są również do nabycia bilety jednodniowe oraz zniżki dla grup zorganizowanych (szczegóły na stronie konwentu)

Noclegi: gratisowe na sali gimnastycznej oraz w kilku salach ku temu przeznaczonych. Dla pragnących spokoju i wygody załatwiamy noclegi w pobliskim hotelu - około 25 zł/noc (szczegóły na stronie konwentu).

Jesteśmy zainteresowani zgłoszeniami dotyczącymi organizacji na Falkonie różnych ciekawych punktów programu - konkursów, prelekcji, prezentacji itd. Osoby, które są tym zainteresowane prosimy o kontakt.

Wszystkie szczegóły na stronie internetowej konwentu: www.falkon.prv.pl,
Serdecznie wszystkich zapraszamy!!!



Forum Fandomu

Zielona Góra, 21.08.2004

1. Wybór komisji liczącej głosy

Kandydatury: Leszek Olczak, Marcin Bronhard (Druga Era), Piotr Paruzel (Ad Astra), Marcin Szklarski (GKF), Michał M. Rokita, Arkadiusz Sroka (SKF). Skład komisji przeszedł przy braku głosów przeciw i 4 wstrzymujących się.

2. Wybór komisji nominacyjnej na rok 2005

Kandydatury: Joasia Słupek, Tomek Fruń, Robert Wołkiewicz, Marcin Bronhard. Skład komisji przeszedł przy braku głosów przeciw i 2 wstrzymujących się.

3. Wybór organizatora Polconu 2006

Lubelskie Stowarzyszenie Fantastyki "Cytadela Syriusza", Lublin. Kandydatura przeszła jednogłośnie.

4. Sprawozdanie organizatorów Polconu 2005

Klub "Druga Era", 2era@wp.pl. Termin: 25-28.08.2005. Miejsce: Błażewko k/Poznań. Goście honorowi: Marek S. Huberath, Tadeusz Zysk, Jacek Gdaniec (zatwierdzono przez aklamację).

5. Sprawozdanie n/t funduszu Nagrody im. Zajdla.

Ela Gepfert przedstawiła koszty statuetek. Ustalono, że organizatorzy Polconu będą odprowadzać na fundusz Nagrody 3 zł od każdej akredytacji.

6. Regulamin Polconu, Forum Fandomu i Nagrody im. Zajdla.

Witold "Szaman" Siekierzyński przedstawił proponowany regulamin. Wprowadzono 6 poprawek zgłoszonych przez Tadeusza A. Olszańskiego, odrzucono jedną. Regulamin został przyjęty przy braku głosów przeciw i dwóch głosach wstrzymujących się.

7. Kalendarium konwentów

25-26.09	Asucon	Katowice
1-3.10	Zahcon	Toruń
22-24.10	Imladris	Kraków
19-21.11	Falkon	Lublin
2-5.12	Nordcon	Jastrzębia Góra

luty	Krakon	Kraków
2./3. weekend marca	Pyrkon	Poznań
03/04	Konkret	Warszawa
29.04.-2.05.	ConQuest	Kraków
30.04.-3.05	Arracon	Elbląg
27-29.05	Seminarium	
	Literackie	Chorzów
czerwiec	Hobbiton	Zielona Góra
lipiec	Teleport	Gdańsk
25-28.08	Polcon	Poznań

8. Wolne wnioski

Witold "Szaman" Siekierzyński poprosił o zgłaszanie propozycji uświetnienia obchodów Roku Janusza A. Zajdla.

Szymon Sokół



Polcon 2004

według Marka

Cześć organizatorom!

Polcon 2004 – z *notatnika orga* mówi wszystko o roku ciężkiej pracy ludzi z AD ASTRA. Mieli podczas imprezy silne wsparcie ze strony SKF-u, zgoda, ale tak właśnie powinno być, że kluby wspierają się przy takich okazjach. Jeśli jednak wziąć pod uwagę wagę tematów, atrakcyjność i poziom wykonania, temu kto tam był i jak ja brał udział

w wybranej części programu, mogła się ona wydawać dziełem jednej kobiecej ręki. Na fantastycznym niebie Zielonej Góry najjaśniejszą świeciła gwiazda Foki!

Ciepły wieczór czwartkowy zachęcał do rozmów przy stołach wystawionych przed „Kotłownią”. Przedtem brałem udział w nadprogramowym spotkaniu z gośćmi z Ukrainy, pisarzem Władimirem Areniewem i Nadią Kudriniecką, przedstawicielką wydawnictwa „Zielony Pies” z Kijowa. Dzieliłem z nimi kwatery, rozmawialiśmy o fantastyce i umawialiśmy się przy okazji na Eurocon 2006 w Kijowie.

Najbardziej znaczącym wydarzeniem, w jakim dane mi było uczestniczyć, było piątkowe spotkanie z gościem honorowym Polconu, Tadeuszem A. Olszańskim. Prowadziła je Klaudia Foka Heintze.



Całe spotkanie zaczęło się od dwóch podstawowych kwestii:

– Jaki był Twój pierwszy kontakt z fantastyką i co sprawiło, że stałeś się jej miłośnikiem?

– Dlaczego akurat Tolkien?

Tadeusz Olszański – Początki mojej fantastyki to był Lem – *Astronauta* (chyba I wydanie). Byłem tak mały – najwyżej 11 lat, może mniej, bo bardzo wcześniej czytałem poważne książki, że traktowałem serio przestrzeń sferyczną (robiłem nawet eksperymenty z piłeczką pingpongową!). Potem był *Obłok Magellana*, do dziś jedna z ważnych dla mnie książek, i do dziś uważam ją za jedną z najlepszych Lema.

W tym samym czasie czytałem oczywiście klasyczną trójcę Verne'a. I Wellsa: *Ludzie jak bogowie*, *Wehikuł czasu...* W szkole średniej jedną z lektur była *Mgławica Andromedy* Jefremowa (od razu zauważyłem zależność od *Obłoku Magellana* zasygnalizowaną już samym tytułem!). I były też w szkole średniej i na początku studiów lektury zachodniej klasyki po rosyjsku np. *Odyseja kosmiczna 2001* (ze skreślonym „nienaukowym” finałem i wstępem Jefremowa, który o tym skreśleniu wprost napisał – dowód pewnej klasy, jak na epokę!). Potem, jeszcze przed Tolkienem, był *Mistrz i Małgorzata*, jedna z najważniejszych książek w moim życiu.

Władcę Pierścieni przeczytałem po raz pierwszy w październiku 1974 r i coś mnie w tę książkę wciągnęło. Było to pierwsze polskie wydanie, dziś właściwie

zapomniane. Od początku odbierałem książkę jako rzecz o historii i moralności, jako wielką przypowieść. Pod koniec 1978 r. zdobyłem dostęp do oryginałów i poznałem prawdziwego Tolkiena. Było to odkrycie prawdziwego *Władcy Pierścieni*, a z nim – błędów i zafałszowań tłumaczeń: pisałem wówczas listy do wydawców. Ten do Czytelnika jako przyczynił się do ulepszenia II wydania.

Potem była rozmowa na temat wartości, pojmowania dobra i zła. Zarówno u Tadeusza Olszańskiego, jak i u Tolkiena.

Klaudia – W większości Twoich wypowiedzi, także oczywiście tych na piśmie, ogromne znaczenie mają wartości. Pojmowane bezwzględnie, rozgraniczone na biel i czerń, dobro i zło.

Tolkien ma nieprawdopodobny dar przedstawiania dobra: nie jest łatwe, nudne, oczywiste. Czy znasz inną podobną książkę?

TAO – Tolkien uważa, że w świecie jest wiele zła, ale i wiele dobra, że dobro nie jest bezsilne. Można porównywać *Władcę* z trylogią międzyplanetarną Lewisa. *Władca* to książka o dobru, które walczy ze złem, a nie, jak często w literaturze, o walce dobra ze złem.

Kolejne pytanie dotyczyło preferencji politycznych.

Klaudia – Co sądzisz o takim podziale politycznym: zwolennicy Tolkiena – prawicowcy, zwolennicy Orwella (1984) – lewicowcy.

TAO – To nieupenie tak. Oczywiście jest, że Tolkien jest bliższy ludziom o poglądach prawicowych (czy raczej – konserwatywnych), Orwell zaś lewicowych (czy raczej – progresistowskich). Ale Tolkien (ściślej – *Władca Pierścieni*) apeluje też do wielu ludzi o poglądach lewicowych; być może jest to pewna „skaza” na ich lewicowości. Z drugiej strony – ludzie nowoczesnej skrajnej prawicy często przypisują Tolkienowi poglądy, których nie podzielał. Nie wiem, czy można tu mówić o podziale politycznym – to raczej sprawa przekonań ideowych, moralnych, nie zaś politycznych we współczesnym rozumieniu.

Klaudia – Czy Tolkien jest antyfeministą? Zdają się o tym świadczyć ostatnie słowa Eowiny: „Nie będę już rycerzem, nie ruszę w pole. Będę uzdrowicielką.” – Czy to nie antyfeminizm?

TAO – Tolkien miał rzeczywiście dość konserwatywne poglądy na rolę kobiety. Przyznawał jej wysoką pozycję, ale różną od pozycji mężczyzny.

Tradycyjny pogląd na wojnę brzmi: wojnę prowadzą mężczyźni w obronie kobiet i dzieci. Eowina jest jedną z licznych w literaturze bohaterek, które buntują się przeciw swojej kobiecości, ale potem dostrzegają jaka jest cena życia wojownika. Straszna bitwa, ciężka rana – takie rzeczy nie mijają bez śladu. I wybiera miłość i małżeństwo z osobą równego stanu. Ale będzie władczynią Ithilien, monarchinią! Nie będzie kurą domową.

Klaudia – Mamy we *Władcy Pierścieni* wyraźny podział bohaterów. Jedynym nie do końca określonym jest Boromir. Boromir ulega podszeptom złej mocy, ale poczucie honoru pozwala mu oddać życie, by zmazać grzech niejednoznaczności. Aragorn jest człowiekiem czynu, ale to jego bezustanne śpiewanie...

TAO – No, nie bezustanne. Ty, Klaudio, szukasz, jak widzę, jednowymiarowości.

Klaudia – Nie, właśnie dwuwymiarowości!

TAO – O tym właśnie piszę w *Aiglosie #2* w artykule o bohaterach Tolkiena! Elrond, Boromir, Faramir czy Legolas są zarysowani dość powierzchownie. Tym bardziej Gandalf, Merry i Pippin także nie są zbyt skomplikowani, ale to nie jest opis powierzchowny. Mało bo znamy takich ludzi, wiecznych chłopców, nieraz po czterdziestce?

Klaudia – Kogo z pisarzy cenisz najbardziej?

TAO – Jedną z pierwszych książek fantastycznych, które przeczytałem, są *Ludzie jak bogowie*. Lubię i cenię raczej poszczególne książki niż autorów. Bardzo wysoko cenię *Gar Ingawi* i zapomnianego *Bożka templariuszy* Anny Borkowskiej, twórczość

Huberatha, niektóre utwory Dukaja, *Inne okręty* Pawlaka. Ogromnie cenię Szostaka – polecam wszystkim. Lubię też m.in. prozę Lewandowskiego...

Z zagranicznej klasyki bardzo wysoko cenię twórczość Le Guin, nie mam natomiast czasu na czytanie wielotomowych sag fantasy.

Potem mówiono jeszcze sporo o literaturze popularnej i było to naprawdę godne zapamiętania spotkanie.

Nieco wcześniej byłem na spotkaniu z dobrym znajomym z festiwalu nidzickich, Jerzym *Jurzym* Szeją, który mówił o RPG, czyli narracyjnych grach fabularnych, jak sam je woli nazywać. Jerzy wydał ostatnio książkę *Gry fabularne-nowe zjawisko kultury współczesnej*, do której odsyłam zainteresowanych RPG, larpami i grami komputerowymi oraz ich miejscem we współczesnej kulturze. Rozmowę z doktorem Jerzym *Jurzym* prowadziła Klaudia *Foka*, której pracę magisterską o fandomie z punktu widzenia socjologii kilkakrotnie cytuję *Jurzy* w swojej książce.

Gwoździem programu popołudniowego był konkurs literacki Klaudii *Foki* Heinze i Marcina Bronharda (Początki i końce). Należą im się gratulacje za znakomity dobór pytań!

Wygrał zespół ŚKF (Michał, Jo'Asia i Szymon), a drugi był GKF (Marcin, Marek, Tomek).

Były początki znane wszystkim (*Eden*, *Neuromancer*) i trudniejsze, ale odgadnięte (*Inne okręty*, *Mniejsze zło*). Nie odgadliśmy: „Naplułem mu w pępek. Jasne, że wymagało to pewnej zręczności, ale i w tym byłem dobry.” (*Klatka pełna aniołów*) Zgadliśmy za to „Tłum, morze ludzi. Rany Boskie, takiego mrowia chyba jeszcze świat nie widział.” (*Jawnogrzesznicza*), rozpoznaliśmy także początek *Lewej ręki ciemności*. (A także początek *VALIS* – ale to było pytanie, na które nie odpowiedzieli inni.)

Z końcami było trudniej. Nie odgadliśmy końca *Katedry*, a inni *Złotej galery*. Nie rozpoznano: „W dziesięć minut później (Gallegher) śpiewał w duecie ze swoim otwieraczem do puszek” ani końca *Gdzie wasze ciała porzucone*. Nie powiodło się nawet silnej drużynie starej gwardii fandomu (Michał, Jacek, Eryk). W każdym razie zabawa była przednia!

Miejscem wieczornych rozmów nie była tym razem „Kotłownia”, ale bar w przyziemiu domu studenckiego, gdzie na wyższych piętrach zakwaterowano uczestników. Wkrótce zabrało wino, ale miła barmanka pamiętała o zamówieniu go dla mnie na następny wieczór.

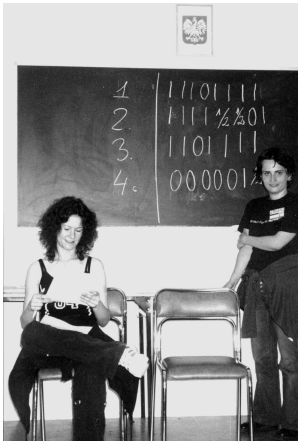
W sobotnie popołudnie „Tolkienowski fan-fiction kontratakuje”. – *Z przymrużeniem oka, z pominięciem zasad savoir vivre'u i dobrego smaku, z absolutnym brakiem poszanowania dla pierwotnej koncepcji postaci... Niezbyt poważne, mało subtelne, kompletnie niemoralne i zupełnie nieklasyczne opowieści ze Śródziemia.*

Pierwsze przedstawienie tego tematu przez Klaudię na Seminarium ŚKF-u w Chorzowie tak bardzo się podobało, że ludzie, którzy go nie słyszeli, a o głoszonych przez prelegentkę herezjach dowiedzieli się od znajomych, prosili o powtórzenie. Wykład został jednak znacznie rozszerzony, a ilustracji nie podawano już sobie z rąk do rąk. Widziało je jednocześnie całe audytorium i reakcje były gorące!

Najbardziej podobał się *POWRÓT KRÓLA (IT'S NOT WHAT I EXPECTED.)* powitany burzliwymi oklaskami. Pisałem już o *Tolkienowskim fan-fiction* w czerwcowym „Informatorze”, dodam więc tylko, że kto oglądał oba wystąpienia, może sobie gratulować, a kto nie oglądał, niech żałuje!



Nieco wcześniej oglądałem spotkanie z Andrzejem Drzewińskim i Jackiem Ingłotem, którzy przekonywali, że dobra fantastyka rozrywkowa może być doskonałą zabawą zarówno dla twórców jak i dla czytelników, a przy okazji zapoznali słuchaczy z techniką pisania w duecie (a nawet w karcie).



Zaraz po „fanfikach tolkienowskich” odbył się konkurs literacki „Alicja w krainie czarów”. Prowadziła Klaudia, pomagała Ania.

Zajęliśmy z Martyną drugie miejsce po Michale Cholewie i Jakubie Ćwieku.

Mogliśmy mieć pierwsze, bo Martyna znała właściwą odpowiedź na decydujące pytanie: kto był sędzią w procesie o kradzież ciastek (król), ale ja przeforsowałem niestety swoją błędną: królik!

Na pocieszenie wypiliśmy z Martyną i Piotrem Cholewą butelkę Amontillado.

Podczas uroczystości zamknięcia wręczono nagrodę Zajdla Jackowi Dukajowi za *Inne pieśni*. Nagrodę za opowiadanie otrzymał Andrzej Ziemiański za *Zapach szkła*. Bardzo się cieszę, bo tak właśnie głosowałem.

W niedzielne przedpołudnie odbył się turniej „Kalambury”, w którym wreszcie dopisało mi szczęście, bo drużyna Północ-Południe (Michał Cholewa, Krzysztof Bortel, Piotr Żurek i ja) zdobyła wszystkie możliwe punkty i wygrała. Sporo było pytań z Dicka i dość łatwo było przedstawić to nazwisko (jeśli się nie było kobietą). Nagrodami były albumy dostarczone przez Sławka. Niestety tym razem prowadząca turniej Klaudia uchyliła się od wpisania dedykacji – Na gołych d..... podpisywać się nie będę!

I tym optymistycznym akcentem kończy się Polcon według Marka.

Michowskiego – przepis redakcji.

NIUSY

ZAJDLE ROZDANE!

Podczas uroczystości zamknięcia Polconu 2004 w Zielonej Górze wręczone ogłoszeni zostali laureaci tegorocznej edycji Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla. Zostali nimi:

» **w kategorii opowiadania** - Andrzej Ziemiański za „Zapach szkła” (Nowa Fantastyka 10 - 12/2003);

» **w kategorii powieści** - Jacek Dukaj za „Inne pieśni”.

Obu autorom serdecznie gratulujemy!

red.

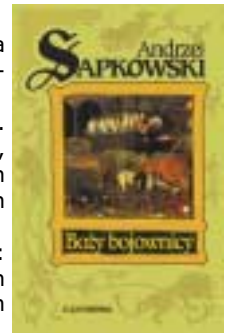
„BOŻY WOJOWNICY” NADCHODZĄ!

Na przełomie września i października ukażą się z dawna zapowiadani „Boży wojownicy” Andrzeja Sapkowskiego – kontynuacja nagrodzonego Zajdlem „Narrenturmu”.

Tym razem bohater będzie brał udział w wojnach husyckich. Wydawnictwo SuperNOWA informuje o treści książki: „Reynevan, medyk z wykształcenia i powołania, bierze udział w krwawych bitwach. Jest wielokrotnie brany w niewolę, ale ze wszystkich opresji wychodzi cało.

Z zadziwiającą gorliwością nastają na niego wszyscy: i Inkwizycja, i złowrogi Pomurnik, i pospolici raubritterzy, których nikt nie przekona, że Reynevan nie miał nic wspólnego z napadem na wiozącego znaczną sumę pieniędzy poborcę podatków. A także wyjątkowo nań zawzięty Jan von Biberstein, pan na zamku Stolz, obwiniający Reynevana o zniewolenie jego córki. Pan Jan obiecuje, że napcha gwałciela prochem i wystrzeli w powietrze. U boku Bożych wojowników Reynevan walczy za prawdziwą wiarę, mści się za doznane krzywdy, i odnajduje wreszcie miłość swego życia.”

Marzena Kłos (SuperNOWA), MJS



WAKACYJNA PŁOTECZKA:

ELFICKA KRÓLEWNA – KRÓLOWĄ PIN UP?

Aktorka Liv Tyler przygotowuje się podobno do głównej roli w filmowej biografii Betty Page – "królowej" amerykańskich "pin up".

Skandalizująca (lata 50.!) gwiazda rozneglizowanych fotek – obok niewątpliwej urody musiała mieć też sceniczną osobowość, skoro do dziś powstają jej fan-kluby (a filmowa Ardvena ponoć od trzech lat walczyła jak elfica o tę rolę).

jpp



NOWOŚĆ SUPERNOWEJ

Do księgarń trafił drugi tom cyklu Witolda Jabłońskiego *Gwiazda Wenus, Gwiazda Lucyfer* pt. *Metamorfozy*. Jest to kontynuacja kontrowersyjnego, bardzo dobrze przyjętego zarówno przez recenzentów, jak i czytelników *Ucznia czarnoksiężnika*.

Marzena Kłos (SuperNOWA)

REMAKE „WOJNY ŚWIATÓW”

Steven Spielberg szykuje remake „Wojny światów”, ekranizacji słynnej powieści Herberta Wellsa. Ma to być najdroższy film w historii kina. Według współpracownika reżysera, chce on nakręcić „najlepszy film dekady”.

MJS za film.onet.pl

NOWA POWIEŚĆ SZOSTAKA

Lada chwila w księgarniach powinny pojawić się „Poszarpane granie” Wita Szostaka – kontynuacja znakomicie przyjętej debiutanckiej powieści „Wichry Smoczogór”.

Misz



NOWY ZBIÓR RAZ-A

Ukazał się drugi zbiór felietonów Rafała A. Ziemkiewicza, laureata Nagrody Zajdla, zatytułowany „Polactwo”. Wydawcą jest Fabryka Słów.

MJS

„NAJFANTASTYCZNIEJSZA OKŁADKA”

Wydawnictwo „Fabryka Słów” przeprowadziło konkurs na „najfantastyczniejszą okładkę” swoich książek. Wygrał Piotr Cieśliński, autor okładki „Siewcy wiatru” Mai Lidii Kossakowskiej.

MJS



NIEŚMIERTELNY RYSUNKOWY

Powstanie animowana wersja filmu „Nieśmiertelny” z Christopherem Lambertem w głównej roli. Produkcją obrazu zajmie się japońska firma Madhouse.

MJS za film.onet.pl

NOMINACJE DO ŚWIATOWEJ NAGRODY FANTASY

Ogłoszono nominacje do tegorocznej Światowej Nagrody Fantasy. Oto wyróżnienia w najważniejszych kategoriach:

» **powieść:** K. J. Bishop *The Etched City*, Kij Johnson *Fudoki*, Ian R. MacLeod *The Light Ages*, Jo Walton *Tooth and Claw*, Jeff VanderMeer *Veniss Underground*;

» **mikropowieść:** Greer Gilman *A Crowd of Bone*, Glen Hirshberg *Dancing Men*, Jeffrey Ford *The Empire of Ice Cream*, Simon Clark i Tim Lebbon *Exorcising Angels*, Kelly Link *The Hortlak*;

» **opowiadanie:** Maureen F. McHugh *Ancestor Money*, Charles de Lint *Circle of Cats*, Bruce Holland Rogers *Don Ysidro*, Alex Irvine *Gus Dreams of Biting the Mailman*, Chris Roberson *O One*.

Laureaci zostaną wyłonieni przez pięcioosobowe jury. Decyzja ogłoszona zostanie 31 października, podczas Światowego Konwentu Fantasy.

MJS za www.locusmag.com

KING KONG: JUŻ SIĘ KRĘCI!

Peter Jackson i spółka dotarli do Nowej Zelandii, gdzie kręcić będą remake filmu „King Kong”. Jeden z aktorów, Jack Black, oświadczył: „Jeśli tylko obraz będzie w połowie tak dobry jak szkice, które już widziałem, zobaczymy najlepszy film w historii”.

MJS za film.onet.pl

HELLBOY WKRÓTCE W POLSCE

17 września na ekrany polskich kin wejdzie ekranizacja słynnego komiksu „Hellboy”.

Tymczasem reżyser, Guillermo del Toro, oświadczył, że chciałby przekształcić film w trylogię.

MJS



POTTER PO HINDUSKU?

Mira Nair, indyjska reżyserka znana z bardzo dobrze ocenionego „Monsunowego wesela” i „Vanity Fair”, otrzymała propozycję wyreżyserowania piątej części przygód Harry'ego Pottera - „Czary ognia”.

„Jeszcze nie podjęłam decyzji - oświadczyła Nair. – Nie chcę na razie, żeby za bardzo mi to uderzyło do głowy.

Staram się trzymać z dala od świata Hollywood, bo to pozwala mi zachować umiar. Natomiast mój syn Zoharan, z którym obejrzałem wszystkie dotychczasowe filmy, jest zachwycony”.

MJS za film.onet.pl

KOSMICZNY ŻAGIEL

Japońscy naukowcy wyprodukowali i po raz pierwszy w historii rozwinęli w przestrzeni kosmicznej żagiel słoneczny. To pierwszy krok prowadzący do stworzenia nowego kosmicznego napędu; żagiel, wykorzystujący wiatr słoneczny, może być bardzo użyteczny podczas podróży na Marsa, a być może również w okolicie Jowisza.

MJS wg www.bbc.co.uk



NOWA POWIEŚĆ DUKAJA

Jacek Dukaj poinformował, że na przełomie października i listopada ukaże się jego najnowsza powieść – „Perfekcyjna niedoskonałość”. Wcześniej jej fragment ukaże się w „Nowej Fantastyce”.

MJS



OBCY NADAJĄ?

Radioteleskop w Aretibo (Puerto Rico), służący do nasłuchu przestrzeni kosmicznej w ramach programu SETI, wykrył tajemniczy sygnał. Ma częstotliwość charakterystyczną dla sygnałów emitowanych przez wodór, jednak nie odpowiada żadnym znanym sygnałom emitowanym przez ciała niebieskie. Astronomowie przypuszczają, że wykryli nowe, nieznanne wcześniej zjawisko – podobnie w 1967 r. dzięki nasłuchowi SETI odkryto pierwszy pulsar. Możliwe też, że sygnał wywołuje podczas zmieniania pozycji sam talerz radioteleskopu. Nie zakłada się, że sygnał mogliby nadawać Obcy.

MJS za „New Scientist”

Z ARCHIWUM PIPIDŹEJA



Niedługo pół roku minie od przedwczesnej śmierci Jacka Kaczmarskiego. W naszych wiadomościach ukazała się wtedy stosowna notka – warto jednak, z perspektywy czasu, pochylić się w większym skupieniu nad tą twórczością. Tym bardziej, że ci wszyscy, którzy odbierali ją w kategoriach li tylko politycznych – nie odczytali wielu jej znaczeń i wartości! Dodatkową okazją jest zbiorcze wydanie wszystkich płyt „Kaczmar” w obszernym albumie CD. Też warto kupić, włączyć, posłuchać, zadumać się nieco...

ŚWIAT WEDŁUG JACKA

Pierwsze skojarzenia są oczywiście polityczne: teksty jego piosenek, perypetie z cenzurą, emigracja w stanie wojennym, praca w Radiu „Wolna Europa”, triumfalny powrót do niepodległej już Polski. Te konotacje są jak najbardziej prawdziwe – ale fenomen Jacka Kaczmarskiego nie ogranicza się do nich. Postaram się więc poszerzyć ów punkt widzenia.

Rzeczywiście, utwory Kaczmarskiego musiały być „solą w oku” gierkowskich władz. Dookoła propaganda sukcesu, „kochajmy się”, przewodnia rola PZPR i braterstwo z ZSRR wpisane do konstytucji – a tu jakiś kędzierzawy chłopaczyna z gitarą i dwoma kumplami (Gintrowski & Łapiński) śpiewa utwory a to nawiązujące do carskiego (najstraszliwszego ze wszystkich trzech!) zaboru, a to do pieśni czy wierszy niekochanych przez władze artystów – Wysockiego (Rosjanina) i Herberta (Polaka), a to wieszczące totalną katastrofę lub – po prostu epatujące pesymizmem. Najgorsze było chyba jednak to, iż nie były to jakieś proste i prymitywne kontestatorskie rymowanki – nieudolnie napisane i także wykonane: ich jakoś literacka, ich oprawa muzyczna, wreszcie ekspresja ich wykonania – reprezentowały najwyższy poziom artystyczny. I „porywały” tłumy słuchaczy!

Początkowo mistrzem Kaczmarskiego był Włodzimierz Wysocki. Jednak Jacek szybko poszedł inną, specyficzną polską, drogą. Wyjaśnił kiedyś w jakimś wywiadzie, że gdy Rosjanin chce powiedzieć coś aluzyjnie – sięga do świata bajek i baśni; Polacy zaś – naznaczeni obsesją historii – na kanwę alegorii wybierają wydarzenia ze swych dziejów. Takie też uniwersum znajdziemy w większości tekstów Kaczmarskiego. Weźmy jeden z jego najwcześniejszych programów: *Muzeum*. Tam, w aluzyjnej formie, mówi o naszej peerelowskiej współczesności nawiązując do obrazów polskich mistrzów XIX i XX wieku. Ale nie są to tylko złośliwości pod adresem władz czy ezopowe biadolonia nad losem. To literackie perełki, do dziś robiące wrażenie na słuchaczach (np. opis *Rejtana* Matejki z punktu widzenia ambasadora carcy!). O bardziej uniwersalnych problemach związanych z potrzebą wolności i moralnymi dylematami mówił program *Raj*. Rzecz o ułomnych stworzeniach ułomnego (bardzo „herbertowskiego”) Boga. Mi szczególnie zapadł w pamięć utwór o Jahwe spacerującym po opustoszałym Rajskim Ogrodzie, tęskniącym za Adamem i Ewą, nudzącym się w towarzystwie Archaniola Gabriela („...towarzyszy Stwórcy w przechadzkach, lecz nie może go bawić rozmową, żadną myślą zaskoczyć zniecka: obaj myślą wszak – jednakowo!”). Dwie pozostałe płyty z tego okresu to *Mury* i *Krzyk*.

Właściwie każdy z utworów zasługiwałby tu na osobną analizę – ograniczę się tylko do ich zasygnalizowania (a ewentualnym Zainteresowanym raz jeszcze gorąco polecam album CD!).

Co do przygód z cenzurą. Dziś wydają się one nawet zabawne. Zakaz wykonania w finale opolskiego „Kabaretu” (AD 1981) porywającego *Epitafium dla Wysockiego* („utwór zbyt męczący dla artysty”). Legalne wydanie kasety z *Murami*, ale bez dwóch – najbardziej pesymistycznych w wymowie – wierszy (*Przyjaciele* i *Encore*). Skierowanie (w początkach stanu wojennego) całego nakładu płyty *Krzyk* na przemiał – pracownicy Polskich Nagrań nie dopuścili się jednak barbarzyństwa i płyta „poszła w Polskę” z okładką i nalepką... Eleni.

Za granicą powstaje m.in. program *Kosmopolak*, zawierający zarówno utwory nawiązujące do Wysockiego (pieśń o koniu wyścigowym: „...co mnie obchodzi dżokej mój – czerwony karzeł!”), jak też kontynuujące cykl tekstów inspirowanych malarstwem (*Ambasadorowie* – przejmująca refleksja nt. przemijania i marności wszystkiego), pojawia się też, odtąd obecny we wszystkich kolejnych programach, wątek podsumowania swej dotychczasowej twórczości (nie pozbawiony autoironii: „...bogactwo zła, którego byłem świadom, było mi w życiu tylko za ostroge; cierpieniem cudzym żyłem i zagładą – gdy cierpieć ani ginąć sam nie mogłem”).

Powrót z koncertami do kraju po przemianach „jesieni ludów” umożliwił też zaśpiewanie tekstów już całkiem niezopowych (ale równie świetnych poetycko!), których w satelickiej Polsce nikt nie poważyłby się dołączyć do programu najkameralniejszej nawet imprezy. Najbardziej wstrząsające z nich to *Ballada wrześniowa* („...tych dni historia nie zapomni, gdy stary świat w zdumieniu zastygł, i święci będą nam potomni po Pierwszym Wrześniu – Siedemnasty!”), *Katyń* (z dołączoną autentyczną przysięgą złożoną przez Niemców ocalałych: „O pewnym brzasku w katyńskim lasu strzelali do nas Sowietci”), *Czołg* („...bo ruskiej tank nie będzie walczył za Polaków; bo ruskiej tank poczekać ma, by ich wybito!”), *Jalta* („...tylko ofiary się nie mylą – i tak rozumieć trzeba Jaltę!”).

Wtedy jednak ostatecznie zakończył się dlań okres twórczości nawiązującej do historii i realiów PRL – a rozpoczął nowy, inspirowany rzeczywistością III RP. Równie zresztą interesujący (a dla niektórych odbiorców również trudny do zaakceptowania)...

Podczas pierwszych koncertów w odmienionej ojczyźnie pojawił się bowiem w jego twórczości kolejny wątek.

Śpiewa również *Mury* – sztandarowy nieomal utwór, uznany przez solidarnościami opozycję za jej hymn. Tyle że finał tej pieśni jest wyraźnym ostrzeżeniem przed... wypaczeniami rewolucji („...a mury rosły, rosły, rosły...”). I nagle, w wolnej Polsce, Jacek zaśpiewał tłumnie zgromadzonej publiczności (hala „Olivia” była pełna, pamiętam!) uaktualnioną wersję zakończenia: „A mury rosna, rosna, rosna, łańcuch kołysz się u nóg”. Wrażenie było wstrząsające! A potem przyszło wiele refleksji... Inny swój słynny utwór (*Źródło-Wąwóz*) uaktualnił w wersji pełnej gorczy (*Źródło-Rozlewiska*). Udowodnił, że naprawdę zawsze interesowały go przede wszystkim kwestie moralne związane z dychotomią wolność-niewola – a że przyszło mu się urodzić akurat w tak boleśnie konkretnej sytuacji „geopolitycznej”...

Ta zmiana, fakt mówienia wolnym Polakom wielu niemiłych prawd o nich samych, spowodowała rozłam wśród dotychczasowych wielbicieli. Część odeszła, zniechęcona. Ale większość ucieszyła się, iż Kaczmar „nie dał się zwariować”. I z niecierpliwością oczekiwała nowych programów, już w III RP napisanych.

Nie zawiedliśmy się! *Wojna Postu z Karnawalem* to chyba najlepszy program tria Kaczmarski-Gintrowski-Łapiński. Nawiązuje do czasu rodzenia się w Europie renesansu („czasy przejściowe”), jako inspirację wykorzystuje wydarzenia historyczne (np. Wojna Trzydziestoletnia) oraz arcydzieła malarstwa niderlandzkiego (np. Breugel), przestrzega przed fanatycznym klerykalizmem (utwór o Cromwellu: „...idą pokonać chrześcijan chrześcijanie, mgłą dysząc zamiast oddechem”), nawołuje do

samodzielnego myślenia (utwór o Lutrze: „...lecz niech czyta, kto umie, niech nauczy się czytać”), „dowała” będącej u władzy byłej opozycji („...każdy z nas o każdym wie zbyt dużo, byśmy skłócić mogli się bezkarnie”), bezlitośnie opisuje panoramę Polski AD 1992 (*Kantyczka z lotu ptaka*). Na naszych narodowych wadach skupił się w kolejnym programie, nawiązującym do I RP, wymownie zatytułowanym *Sarmatia*. Skrzy się tu też od nawiązań do wydarzeń historycznych, dzieł sztuki, narodowych prześmiewców (od Kitowicza po Gombrowicza) – choć obrazuje też dumę dawnej Polski (ze wszystkimi skutkami owej: „...że się naszą mizerią płaci ich potęga, bo za życia zwykli myśleć tylko o sobie”).

W następnych, już solowych, płytach (*Pochwała łotrostwa, Między nami, Dwie Skąły, Mimochoodem*) celnie opisuje naszą współczesność. Dużo tu obserwacji obyczajowych (jak np. w piosence o księgowej z domu kultury, co „wzięła sprawy w swoje ręce”), dużo obrazków współczesnego świata (wojna w b. Jugosławii, wyalienowanie młodzieży, knajpki układy na szczytach władzy), pojawiają się – utrzymane w literackiej formie litanii – refleksje nad paradoksalnością natury ludzkiej („...o krok od źródła konają z pragnienia”, „...o krok od wiedzy wdychają zabobon”). Cały czas też sporo w tych tekstach, bardzo głębokich, nawiązań do tradycji religijnej (gdybyż co niektórzy z naszych pseudochrześcijańskich polityków tak znali Biblię, jak znał ją ów bard-wolnomyśliciel!).

Wciąż też sięga do swej niesamowitej umiejętności pisania w stylu poety, do którego akurat nawiązuje (np. czasy rządu Jerzego Buzka opisał, niezwykle ironicznie i – celnie, bo bez nienawiści czy interesu politycznego, z punktu widzenia... ducha Słowackiego, oktawą!).

Nigdy zresztą nie był ponurakiem. W jego tekstach, obok aluzji historycznych i artystycznych, doskonałego warsztatu literackiego, zaskakujących skojarzeń – można znaleźć także wiele humoru, najlepszej próby. Dowodzi też tego płyta z pieśniami pijackimi (*Bankiet*), dowodzi autoironiczny debiut powieściowy (*Autoportret z kanałą*).

Nieobca Kaczmarowskiemu była też fantastyka. I ta szeroko pojęta (Bosch, Jasiński, Witkacy) – i ta nam akurat najbliższa (Tolkien, Lem).

Ktoś może powie: „Tak, ale jednak w tej poezji dużo było polityki – a to temat raczej publicystyczny”. Odpowiem: „Dlaczego? Poezja jako rodzaj literacki nie ograniczała się nigdy do spraw wyłącznie miłosnych! Zawsze mówiła o życiu we wszystkich jego aspektach. Jednym z tych aspektów są sprawy społeczne. Czemu miałyby je pomijać? Jest tylko jeden warunek – musi to robić dobrze, musi pozostać wartościową literaturą!”. A ten warunek twórczość Jacka Kaczmarowskiego spełniała niewątpliwie. Poza tym – Kaczmar ma na swym koncie całkiem niezłe erotyki (choć drugim Grechutą by nie został – tak jak Grechuta nigdy nie będzie drugim Kaczmarowskim – to dwa inne światy, oba zresztą doskonałe).

Podobno pod koniec życia Jacek pogodził się z obydwojema starymi przyjaciółmi – i miał pomysł na dwa kolejne programy, znów jako trio. Szkoda, że straszliwa choroba (rak krtani u śpiewaka o takiej ekspresji!) nie pozwoliła mu na zrealizowanie tych planów...

Po jego śmierci ktoś napisał, że byliśmy drugim pokoleniem w historii Polski, które miało swojego Mickiewicza. Mocne słowa. Ale moim zdaniem – nie przesadzone!

Przy wszystkich przekleństwach „ciekawych czasów” – cieszę się, iż przyszło mi należeć do tegoż właśnie pokolenia. A nasz Wieszczy był ode mnie raptem o dwa lata starszy.

Jan Plata-Przechlewski

[tekst ten ukazał się niedawno w dwóch numerach wejherowskiego tygodnika społeczno-kulturalno-sportowego „Panorama Powiatu”; tu drukujemy go z drobnymi, „kosmetycznymi” wręcz, zmianami]



Nagrodzie imię dumne dano

I oto mamy kolejną „fantastyczną” nagrodę – Nautilusa¹. Milkną już fanfary po ogłoszeniu wyników pierwszej edycji, warto więc może zatem zapytać: po co nam nowa nagroda? Osobiście uważam, iż tego typu inicjatywy mają za cel coś lansować. Jak jednak dowiedziałem się z lektury komentarza do wyników Nautilusa – jestem w błędzie.

Pierwsze czerwone lampki włączyły mi się przy tezach o „spadku czytelnictwa”, „kryzysie książki” czy „zbyt wysokich cenach książek”. Na te tematy piszę niemalże „codziennie” na łamach zupełnie innych pism i hasła tego rodzaju traktuję podobnie jak zew „Balcerowicz musi odejść!” czy „Kartagina musi zostać zniszczona!”. Choć, jak wiadomo, ten drugi ostatecznie faktycznie przyczynił się do zniszczenia wielkiego miasta.

Dalej w komentarzu mój niepokój pogłębiło kopanie konkurencji. Wydaje mi się, że wcześniejszy boom, jak i obecnie odczuwalna pewna stagnacja na rynku pism fantastycznych to zjawiska pozytywne dla wszystkich, działają tu bowiem prawa rynku. I znów omyłka! Otóż inni „zatajają wyniki głosowania”, „uciekają się do sztuczki

z procentami” (istotny przytyk w kierunku „Nowej Fantastyki”, ale zupełnie nie na miejscu). No i znów nieco zgryźliwe słowa o tych, co już padli i za chwilę padną, podczas gdy „Science Fiction” trwa.

A i potem było już niewiele lepiej... Powstała nagroda, która ma być odzwierciedleniem „faktycznych preferencji czytelnicy, nieskażonych rozgrywkami środowiskowymi czy innymi uwarunkowaniami”. Jak jasno stąd wynika – otrzymaliśmy rybę i cieszymy się, że zapomniano dodać jeziora, bo jest mokre, a co gorsza, pływają w nim **inne** ryby. Skoro więc „there can be only one!”, a inne ryby są stare i zepsute, oto mamy świeżuchną i do tego „obiektywną”...

Zawsze wydawało mi się, że **obiektywnym obrazem preferencji jest wielkość sprzedaży**, a wszelkie nagrody – oderwane często od „czynników ekonomicznych” – mają charakter głównie prestiżowy. Listy nominacji do Hugo i Nebula śledzi się z taką samą uwagą, jak listy bestsellerów, jednakże **z zupełnie innych względów**... A skoro i Nautilus opiera się na głosowaniu, a więc ma współtworzyć grupę wyróżnień prestiżowych, to czy trzeba go podierać wynikami sprzedaży? („Analizując układ książek wydanych przez DW Ares (...) układ tytułów odpowiada wielkością sprzedaży tych tytułów”)

Oczywiście byłbym szaleńcem, usiłując dyskutować z wynikami! Tak zagłosowali i wybrali czytelnicy i chwała im za to! Chwała tym bardziej, że zagłosowało tak wielu! Niemniej tak liczna grupa czytelników aktywnych to raczej wynik efektywnych i zdecydowanie trafionych nagród, których wybór jest oczywistym plusem dla redakcji „SF”. Jednakże już w przyszłym roku trzeba będzie uporać się z kilkoma problemami immanentnie wpisanymi w naturę wszelkich konkursów – nagrody powinny być atrakcyjniejsze, a tych, którzy rozczarowali się w roku bieżącym, trzeba będzie przekonać do ponownego głosowania. Rozczarowali, bo nie wygrali nagrody, bo nie wygrała „ich” książka, bo bo...

Jak już wspominałem: w głosowaniu udział wzięli **czytelnicy aktywni**, a nie czytelnicy „zwykli” (nikt zresztą w naszym kraju nie wie kto to taki? – zwykli

¹ jej organizatorem jest miesięcznik „Science Fiction”

czytelnik). Tych, którzy głosowali, wyróżnia właśnie to, że... głosowali! O co chodzi? Przypomnę może historię błędu Gallupa. Przed blisko wiekiem spróbowano zbadać preferencje wyborcze za pomocą badań telefonicznych. Wyniki tych badań okazały się oczywiście wielką porażką, gdyż tak naprawdę zbadano jedynie preferencje tych, którzy: 1. mieli telefon (wówczas raczej luksus) i 2. byli w domu (mogli odebrać). Podobnie z dobro-wolnym głosowaniem – wyniki odzwierciedlają wyłącznie gusta głosujących i nic więcej. Zastanawiam się zatem, po co wydawcom „możliwość sprawdzenia i analizy wyników”?

Wydawców może natomiast zainteresować brak ich całych nazw na „pełnej liście wyników” oraz interesujące sugestie, typu: „W kategorii trzeciej znalazły się (...) tytuły nieobecne w KKF i traktowane marginalnie na łamach pisma”. Czytelne aż nadto, ale jak ma się do tego, że na nagrodę głosowali nie tylko czytelnicy pisma?

Dobrym skądinąd obyczajem jest podpisywanie tekstów imieniem i nazwiskiem, zwłaszcza gdy pisze się paszkwil. Ostatnio szeroko dyskutowano nad niejednym takim tekstem, a właściwie nad całą rubryką, i mimo tego, że zrodziła się w piśmie, które notorycznie służy na wszelkich forach za... serwetkę do wycierania ust, jak widać zła tradycja poszerza swe wpływy, przerzucając się także na inne tytuły.

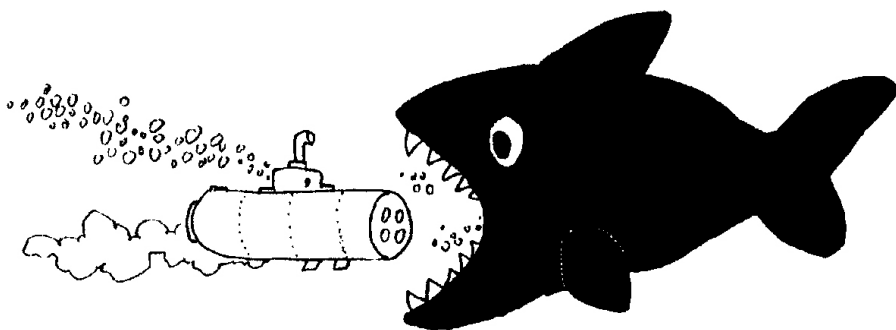
Miał podpisu w komentarzu do Nautiusa przewija się stale podmiot grupowy: „my” i podkreślenie: „nasz redaktor naczelny”. Jak wynika jednak ze stopki, redakcję tworzą dwie osoby, więc kimże są owi „my” – kolektyw, pospolite ruszenie, Borg²?

I w tym oto miejscu wielu czytających ten tekst pomyśli sobie: „Ale mu dowalił!”, a skoro już myśli, to pewnie i doda: „Ale fajnie!”. Nic z tego! Sam dołożyłem swoją cegiełkę do powstania Nautiusa, wymieniając z Robertem dłuuuugą korespondencję na temat regulaminu – podczas „omijania mielizn, na których utknęli inni”. Dlaczego? Z tego samego powodu, z jakiego popieram wszelkie tego rodzaju inicjatywy, jeśli posiadają jakieś ręce i nogi. Jak napisałem już bowiem na wstępie – uważam, że nagrody tworzy się głównie w celach promocyjnych oraz snobistycznych. Oba są chwalebne jeżeli służą popularyzacji – zwracaniu uwagi mediów, czytelników – i budowaniu atmosfery wokół książki, wokół fantastyki – powiększaniu szacunku, wytworzeniu „przymusu przeczytania”, itp.

Mogą też, jak widać, służyć udowodnianiu „czegoś”, choć to po prostu... niepoważne.

Nautilusowi życzę, żeby miał się dobrze. Jak najlepiej! Bo jest on kolejną okazją do tego, by głośniej, szerzej pomówić o fantastyce. A jako że to pierwsza edycja, to – jak sądzę – takie szczegóły jak komentarz można w kolejnych poprawić.

Tomek Nowak



² gdyby ktoś nie wiedział kto zacz – proszę po cichu zapytać jakiegoś startrekowca.

Samotność Sztucznej Inteligencji

Wpadła mi w ręce książka pod nieco dziwnym tytułem "Bo kombinarki były brutalne" autorstwa Konrada T. Lewandowskiego *alias* Przewodasa. Ponieważ tomik był poręczny, wzięłem go do teczek i – gdy tylko zająłem miejsce w autobusie gdzie notorycznie zajmuję się lekturą – niezwłocznie przystąpiłem do pracy.

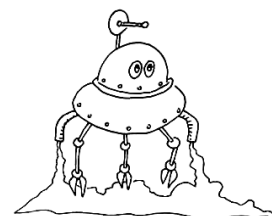
Praca tym razem okazała się przyjemnością, bo powieść napisana jest ciekawie, z "nerwem", intryga z mejsca wciąga, słowem – czuje się pióro zawodowca. Cechuje ją zwięzłość, brak rebusologii i udziwnień, wartość fabuły i spora doza humoru. Ów humor, nieraz groteskowy, dotyczy głównie nawiązań do naszego fandomowego światka i do koterii dziennikarskiej. Książka napisana jest z dystansem, literackie konstrukty cechuje pewna umowność, a to lubię, więc rzecz mogę dalej polecić tym, którzy odbierają podobnie.

Oczywiście, można czepiać się tych "Kombinerek" z różnych stron, i znalazłyby się ku temu powody, ale nie mam zamiaru bawić się w recenzowanie, a to dlatego, że taką działalnością z zasady się nie param. Zmierzam do czego innego – mianowicie pod wpływem lektury nasunęły mi się pewne skojarzenia i takie interpretacje, których zapewne sam autor nie wziął pod uwagę. Po raz kolejny potwierdza się moja teza o pisarzu tworzącym w dużym stopniu intuicyjnie, którego błysk geniuszu objawia się w wykreowaniu świata na tyle złożonego, że każdy czytelnik może interpretować go na swój sposób.

Przy pierwszym podejściu trochę śmieszy Przewodasowa koncepcja uzyskania sztucznej superinteligencji w wyniku prostego zmieszania szczypty prionów, modyfikowanego DNA i fulerenu, a więc substancji reprezentujących trzy hity końca ubiegłego wieku z dziedziny biologii, biochemii i chemii. Lecz już po chwili zacząłem takie podejście racjonalizować: jeśli materia zawiera immanentną cechę samokomplikacji, realizującej się aż do etapu wytworzenia form ożywionych, a potem inteligentnych, to zetknięcie wyżej wymienionych składników mogłyby okazać się drogą na skróty do osiągnięcia tego celu. Mniemam, że autor wyraził tę myśl w symbolicznej, a więc niekoniecznie ścisłej postaci. Nurkując dalej w podtekstach można dopatrzeć się znanej skądinąd myśli, że *Homo sapiens* ewoluował tylko po to, aby dokonać epokowego połączenia odpowiednich składników i stać się rodzicem sztucznego superpotomka.

Następna sprawa: nowonarodzona, ale już wszechmocna SI ściąga się u stóp ludzi, a konkretnie Przewodasa, uznając go za partnera do "bycia razem", szefa, bez mała imperatora gatunku własnego, a przy okazji ludzkiego. Autor niewątpliwie się rozmarzył, szykując sobie ów krzepiący koktajl, lecz czytelnik tylko wzrusza ramionami. Ale powoli! Zastanówmy się – zanim wydamy osąd, ponownie popatrzymy na możliwą do odczytania treść symboliczną. Bycie razem uzasadnione jest w przypadku wzajemnego zaspokajania potrzeb, więc może człowiek jakoś mógłby uzupełnić tę SI?

Otóż, moi drodzy – i w życiu, i w literaturze stanowczo zbyt często popełniamy grzech antropomorfizacji. Zwierzątka kochają, są smutne i umieją mówić, natomiast sztuczna inteligencja będzie nie tylko inteligentniejsza i sprawniejsza od ludzi, lecz także natychmiast po narodzinach wytyczy sobie cele, pojmie sens własnej działalności, a może nawet istnienia, z pewnością rozpocznie proces poznawania świata



i podjęcie wysiłku samodoskonalenia. Przypisujemy SI to wszystko, co pragnęlibyśmy widzieć u siebie, gdybyśmy zyskali atrybuty potęgi. Zapominamy przy tym, że ludzka hierarchia celów ma swój początek w biologii – nieco upraszczając można powiedzieć, że wykazujemy pęd do wiedzy i eksploracji po to, by zwiększyć własną konkurencyjność i zdobyć nowe terytoria, gdzie łatwiej będzie prokreować i zdobywać pożywienie. Dla efektu tego działania nie jest ważne, że przy okazji zaspokajamy tzw. potrzeby wyższego rzędu, a właściwie jest ważne o tyle, o ile ów efekt ulega wtedy wzmocnieniu.

Należy więc zapytać, czy SI wykaże analogiczne motywacje? Czy wykaże w ogóle jakiegokolwiek motywacje? W swoich wyobrażeniach każemy jej odczuwać, konfrontować się z ludzkością, dążyć do władzy. Oczywiście, może tak się stać, ale przecież nie musi – kto wie, czy SI nie okaże się pod pewnymi względami ułomna, genialna jak komputer wygrywający w szachy z "cytoplazmatycznym" przeciwnikiem, lub podobna autystycznemu geniuszowi w ciągu sekundy liczącemu rozsypane zapałki, równie szybko obliczającemu dzień tygodnia za pięć lat od dziś, lub fotograficznie zapamiętującemu obrazy.

Wróćmy do "Kombinerek" – w książce wszechpotężna SI uznaje człowieka za swojego przewodnika. Jest to jedna z możliwości – i wcale nie tak absurdalna, jakby się mogło wydawać. Kto wie, czy nadmiarowość możliwości wobec minimalnego doświadczenia i, co ważniejsze, braku biologicznych korzeni, na których wyrosła cała nasza kultura i celowość działania, nie staną się przyczyną całkowitej świadomej autoantropomorfizacji nowej SI? Taka inteligencja podszyje się pod człowieka, przybierze nie tylko jego fenotypową postać, ale przejmie cały bagaż historyczno-kulturowy, będzie białą kartą, na której – z braku innych – zostaną zapisane wzorce ludzkiej cywilizacji. Dopiero wtedy byt nowonarodzonej świadomości wypełni się treścią.

Do czasu, moi drodzy. Do czasu, po którym Supergolem znajdzie własną drogę – a wtedy nie będziemy już mu do niczego potrzebni.

Andrzej Zimniak

Kielich goryczy

Czytelników, których kiedyś zachwyciły zmienne koleje losu Twardokęska, Szarki, wiemy i innych bohaterów dwóch powieści Anny Brzezińskiej, ponownie czeka prawdziwa uczta dla oka i ducha. "Letni deszcz. Kielich" stanowi kontynuację "Zbójckiego gościńca" i "Żmijowej harfy" wydanych przez wydawnictwo Supernowa.

Tym razem na plan pierwszy wysuwa się postać zbójcy Twardokęska - człowieka tyleż okrutnego, co... budzącego sympatię. To połączenie, choć teoretycznie zadziwiające, w zasadzie nie zdumiewa tych, co zanurzyli się w specyficzny klimat świata wykreowanego przez autorkę. Jest to świat, gdzie – niczym w ponurej baśni – obok magii i piękna możemy zaznać dojmującego cierpienia i goryczy. Marzenia raczej się nie spełniają, a ciężka praca nie przynosi oczekiwanych rezultatów. Poza tym zwyczajny pech może zepsuć nawet najbardziej świetlane przeznaczenie i na odwrót: przeznaczenie wyciąga chciwie dłonie, nie bacząc na pragnienia, uczucia, sytuację i plany bohaterów.

Zbójca Twardokęsek ma proste marzenia. Chce trochę spokoju, no i oczywiście wiele hoźych, miłych dziewczek, a jeszcze więcej siarczastej okowity. Nie dane mu będzie tego zaznać. W Krainach Wewnętrznego Morza szykuje się wojna z Pomorcami, w którą zostanie wplątany, pomimo że próżno szukać u niego patriotycznych zapędów.



Mieszczanie mają dość szlacheckich postępów, a chłopstwo buntuje się przeciwko mieszczańom i kapłanom. Pałą i rabują, budząc strach i nienawiść do kacerzy i heretyków wszelkiej maści. Na domiar złego Szarka i wiedźma odchodzą. Udają się na Wyspy Zwajackie wraz z kniazem Suchywilkiem - nieoczekiwanie odnalezionym ojcem wojowniczką, która przez całe swoje dotychczasowe życie była przekonana, że pochodzi z południa. Tymczasem jej ojczyzną nie jest kraina Norhemnów, lecz morskich rabusiów i wojowników.

Twardokęsek łupi na gościńcach w zacnej kompanii zbój-szlachcica Bogorii i przez pewien czas żyje mu się nieźle, a w każdym razie wesoło. Niestety, dostaje zadanie od żalnickiego księcia. Ma prowadzić i eskortować wozy z bronią i prowiantem dla rebeliantów. Niewdzięczna robota kosztuje go sporo zdrowia, omal nie traci życia. Uznaje, że jest zbyt stary na to wszystko, więc najwyższy czas odejść na "emeryturę". Stwierdza, że pomoże mu w tym grabież zgromadzonych w Wilczych Jarach (i z trudem ocalonych) dóbr z żalnickich świątyń. Cóż... Planowany skok życia z pewnych względów nie może dojść do skutku. Jakby tego było mało, zbójca musi... się ożenić. Młodzianka (w każdym razie w porównaniu z mężem) Złociszka – odważna, sprytna i pewna siebie córka bankiera – nie jest taka, jak kobiety z Przełęczu Zdechłej Krowy, gdzie urodził się Twardokęsek. Ani się go nie boi, ani nie zamierza słuchać. Wręcz przeciwnie – wiele wskazuje na to, że stary wyga w końcu pozna, co to mores przed niewiastą.

Daleko od tego rozdartego niepokojami kraju – Szarka staje się Iskrą, istotą utkaną z płomieni i śmierci. Odzywa się w niej krew Wichrowej Sevri, co zaowocuje kolejnym bólem i niespełnionymi nadziejami.

Historia przedstawiona w książce bynajmniej nie należy do wesołych i optymistycznych. To historia, w której ciepły letni deszcz wypełnia ślady końskich kopyt pozostające po armii wyruszającej na bój, a kielich przepelnia przypisana doń gorycz.

Jednocześnie jednak powieść zawiera sporo ciętego dowcipu, czasem sarkastycznego, czasem wręcz złośliwego, a czasami, jakby dla odmiany, bardzo ciepłego. Humor i drobiazgowa kreacja rzeczywistości stanowi największy atut tych powieści.

Autorka – posiadająca rozległą wiedzę historyczną zarówno o realiach, jak i wydarzeniach różnych epok – stworzyła świat tyleż kolorowy, co "brudny", słowem ze wszech miar realistyczny.

Książka Anny Brzezińskiej nasycona jest niezwykłym nastrojem. Barwny język sprawia, że łatwo możemy wyobrazić sobie opisywane miejsca i postacie (brudne ulice, błoto na drodze i krople deszczu wlewające się za kołnierz, albo dla odmiany rozszalałe bryzgi morskiej piany lub zapach lasu), poczuć emocje targające bohaterami.

Bardzo interesujące są opisywane nacje i ich sposób życia. Widać, że prezentują różną mentalność, że zarówno czasy, jak i otoczenie wymuszają odmienne od naszego postrzeganie rzeczywistości.

Śmierć i choroba często się zdarza, więc nie ma co nad tym długo deliberować. Podobnie miłość czy pożądanie, które bywają związane ze swoistą transakcją handlową, o ile wręcz się na niej nie opierają.

Przyznam również, że powieść, w jakiej często pojawiają się nazwy kojarzące się ze staropolszczyzną to dla mnie miła odmiana po książkach fantasy, gdzie fabuła i podwaliny stworzonego świata zasadzają się na elementach przypominających raczej dziedzictwo celtyckie lub skandynawskie.

Letni deszcz. Kielich Anny Brzezińskiej oferuje doskonałe spędzenie czasu. Zresztą trudno spodziewać się czegoś innego po autorce dwukrotnie nagrodzonej Zajdlem.

Joanna "Trashka" Kułakowska (www.gildia.com)

Letni deszcz. Kielich Anna Brzezińska Wydawnictwo RUNA, Warszawa 2004. 592 str.

Wieści ze świata gorszego niż nasz – ciąg dalszy



Szczyry i rekiny stanowią drugi tom trylogii o "Ukochanych Poddanych Cesarza" autorstwa Tomasza Piątka – lingwisty, publicysty i twórcy powieści głównego nurtu: "Heroina", "Bagno" i "Kilka nocy poza domem".

Książka kontynuuje wątki z poprzedniej części. Hengist nadal poszukuje oryginalnego świętego obrazu, a Jonga i Tundu tropią miejsce pobytu władcy. Pojawiają się także nowi bohaterowie.

Czytelnik dowiaduje się o kilku specyficznych cechach elfiej populacji (oczywiście nie mogą zdradzić o co chodzi, aby nie zepsuć niespodzianki), a także zyskuje możliwość bliższego przyjrzenia się sytuacji na Północy.

Autor już poprzednio sygnalizował, iż jest to kraina odmienna od innych dziedzin Cesarstwa. Na przykład: uczucie i sposób postępowania określane tam jako "miłość", w każdym innym miejscu raczej zyskałby nazwę perwersji i odrażającego okrucieństwa, zaś przemoc i fałsz są zwyczajową normą, zupełnie niezależną od dyrektyw ukochanego władcy świata. O tym wszystkim przekonuje się na własnej skórze kapitan Ritavartin, który okazuje się być szpiegiem doskonałym. Aby przetrwać we wrogim środowisku stara się maksymalnie upodobnić do jego mieszkańców. W efekcie popada w obłąd i... zostaje prawdziwym Północnikiem. Ze wszech miar "interesujące" przejawy psychiki i obyczajów mieszkańców Północy poznajemy również dzięki zesłanemu w tamte rejony Zio Vorticci – niegdyś księcia na półwyspie noszącym dumnie miano "Srcz".

Bogate w szczegóły opisy metod znęcania się nad kobietami zapewne są próbą przedstawienia (w nader przejawskrawiony sposób) mentalności, która przypisuje cechy ludzkie tylko jednej płci. Istnieje wiele miejsc na świecie, gdzie kobiety są traktowane jak obywatelki drugiej kategorii i kilka takich, gdzie oficjalnie przyznaje się im mniejszą wartość niż pociągowym zwierzętom. Tomasz Piątek przypisał jednemu fikcyjnemu narodowi cały zestaw obyczajów oddających groźbę społeczności, która bazuje na zrytualizowanej przemocy mężczyzn wobec kobiet i ubezwłasnowolnieniu tych ostatnich. Raczej nigdy nie istniała nacja, która lubowałaby się w wyłupianiu oczu lub wyrwaniu języków płci pięknej, za to jeszcze w latach 60. XX wieku można było na prowincji Chin spotkać staruszki o zniekształconych, skarłałych stopach, zaś w krajach arabskich – ofiary zwyczaju łamania prawej nóżki nowonarodzonej dziewczynce. Dokonane przez Piątka wyolbrzymienie i zohydzenie przemocy wobec kobiet uważam za najciekawszą kwestię poruszoną w tej powieści.

Warto zwrócić uwagę, że Cesarz, którego natury i pochodzenia na pewno domyślają się już wszyscy czytelnicy poprzedniego tomu, nie nakazał tych praktyk: wynikają one niejako samoistnie z natury tubylców, czyli po prostu – z ludzkiej natury. Tłumaczy to oczywiście uczucie odrazy żywione przez elfy, gdyż (jak się rychło

okazuje) chęć odwrócenia rytuału stworzenia wcale nie jest podyktowana jedynie ochroną własnej rasy i miłosierdziem. Znacznie lepiej pasuje tu określenie "estetyka".

W książkach Piątka znajduje się wiele smaczków lingwistycznych. Na przykład słowo "Sisu", które w powieści oznacza coś w rodzaju fizycznej manifestacji duszy Północnika (fragment siły życiowej ujawniający się w formie zwierzęcia, jak rozumiem do jego funkcji należy ochrona lub zemsta) nie zostało wzięte z powietrza. Jest to fiński termin. Istotną rzeczą w schemacie "prawdziwego" Fina stanowi właśnie zaleta "sisu", która odnosi się do uporczywości i wytrwałości w obliczu różnych przeszkód. Tradycyjnie jest to cecha głównie męska. Aby uchronić ten naród przed nadmiernymi skojarzeniami z powieścią – dodam na wszelki wypadek, że Finlandia należy do krajów o największych tendencjach do zmian tradycyjnych ról płciowych.

Do innych ciekawych wątków należy sugestia jakoby wszystko, co wyprawia ukochany władca świata wynikało z... poczucia winy. Fakt, że dość specyficznie to wyraża. Autor pokazuje, jak bardzo strach i napędzane nim posłuszeństwo wobec władzy przytępia umysł. Ukochani Poddani Ukochanego Cesarza żyją w stanie świadomości ocierającym się o szaleństwo. Oni naprawdę wolą być przekonani, że jeśli władca twierdzi, iż czegoś nie ma, to tego nie ma i już. Choćby widzieli owo "coś" na własne oczy i na dodatek byli przez nie mordowani, to... nie ma i już. Przyznanie istnienia "nieistniejącego" oznacza bunt i herezję. Dlatego właśnie całe armie pozwalają się wybić bez walki. Jak na ironię "Nichońców" znajdujących się po obu stronach barykady cechuje podobny etos.

Tytuł pierwszego tomu nie był przypadkowy. Żmije i krety to zwierzęta użyte do stworzenia ludzi. Rasa ludzka zachowała stereotypowo przypisywane tym stworzeniom cechy, a więc – fałsz, obłudę, tchórzliwość, umiejętność ukrywania się i zamiłowanie do podstępnych, jadowitych ataków. Także drugi tom otrzymał swój tytuł z określonego powodu. Są osoby, które potrafią przetrwać niczym sprytnie i agresywnie szczyry, pomimo iż praktycznie jest to niemożliwe w danej sytuacji. Istnieją też takie, co budzą litość z powodu krwiożerczości i głupoty. Przypominają błotne rekiny. Wszystko wskazuje na to, że gdy Cesarz przestanie im dostarczać świeżą "ludzinę", zdechną z głodu lub pozagryzają się wzajemnie. Podobny los spotyka większość urzędników Cesarstwa.

Po lekturze poprzedniej powieści Piątka wręcz należało się spodziewać, iż także główni bohaterowie nie skończą zbyt pomyślnie. Tak się też stało. Być może akcja ostatniej części trylogii będzie miała miejsce w legendarnym miejscu kaźni... to znaczy, przepraszam, cesarskiej łaski – w osławionym Rombie.

Ogólnie rzecz ujmując książka jest dość ciekawa. Niestety trzeba przyznać, że malownicze opisy tortur i przesłuchań trochę się już przejadły i jak na razie niewiele nowego wniosły do treści. Odbiorca wciąż stoi przed ledwo tkniętą zagadką – miejmy nadzieję, że w trzecim tomie nastąpi jakaś błyskotliwa odsłona.

Sądzę, iż czytelnicy powinni zapoznać się z ową powieścią nie tylko dlatego, że stanowi ona środkową część pierwszego polskiego "totalitarnego fantasy" opisującego krainę, gdzie nie tylko brak dobra, ale nawet "mniejsze zło" ciężko znaleźć.

Makabryczne poczucie humoru autora, absurdalnie zabawna eskalacja przemocy podkreśla ohydę wyżej wymienionej (choć także odejmuje jej grozy).

Warto także warto zwrócić uwagę na sposób konstrukcji fabuły. Książka zaczyna się prawie od końca – czytelnik krok po kroku dowiaduje się, co doprowadziło do pewnej zadziwiającej sytuacji, którą został nagle "uraczony" przez pisarza.

Jeśli zaś chodzi o klimat powieści – to trzeba przyznać, iż rubaszne, pseudosłowiańskie rymowanki Północników naprawdę się autorowi udały.

Ciąg dalszy nastąpi.

Joanna "Trashka" Kutakowska (www.gildia.com)

Ku rozśmieszeniu serc

Jak rodzą się antybaśnie? Metoda jest dobrze znana: bierzemy małe i wielkie dziwactwa naszej rzeczywistości i wiążemy je z wątkami o baśniowym rodowodzie. Proste? Wcale nie. Potrzeba wyrobionego zmysłu obserwacji i na poły alchemicznych umiejętności łączenia wody i ognia, by podobny mariaż nie okazał się budzącym niesmak mezaliansem. Wolski posiadał obydwie zdolności.

Pierwsze strony książki nie zapowiadają tego, co ma nastąpić dalej. Na początku afirmacja potęgi miłości, gdzieś tam niepozorna aluzja do „Tylko Beatrycze” Parnickiego, naraz obraz się ukonkretnia, jest stos, jest tłum, jest domniemana czarownica – dziecko jeszcze – i ludzie, którzy nie powinni w tym miejscu być. Jak łatwo przewidzieć, efekt takiego połączenia może być tylko jeden: nieliche zamieszanie. Nagle – bach! – zmienia się gwałtownie sceneria, łądujemy w zupełnie innym czasie i miejscu. Obraz to znany aż za dobrze, daruję sobie więc przymiotniki i powiem tylko „a to Polska właśnie”. Aluzja do Parnickiego obiecuje ciekawą lekturę, znajoma rzeczywistość jednak zniechęca najbardziej tradycyjnym ze swoich odcieni: szarością.

Pogrążony ze szczętem w tej szarości młody sanitariusz Marek Kazimierzak, jak przystało na kogoś, komu przypadł w udziale niewdzięczny obowiązek ciekawego rozwijania fabuły, dość niespodziewanie (ale przecież nie dla nas) odkrywa wokół siebie mnóstwo zagadek i pakuje się w kłopoty. Uwikłany w zdarzenia, które niekoniecznie potrafi połączyć w logiczną całość, nasz bohater doprowadza czytelnika do tego, co w książce najważniejsze – do antybaśni. Wielbicielom Wolskiego nie trzeba raczej wyjaśniać, o co chodzi, dobrze znają oni bowiem Amirandę i okolice. Cóż można jednak powiedzieć tym, którym Amiranda jest obca? Wyjaśnić, że to państwo w alternatywnym świecie – to przecież za mało. Ową rzeczywistość alternatywną wiążą z naszą więzy ściśle, choć nieco pokrętniej natury. Te zwichrowania powodują, że szklana góra na skutek niekompetencji wykonawców przekształca się w szklany dół, Kopciuszek zaś okazuje się „elementem antymonarchistycznego spisku określonych sił, z tak zwaną Dobrą Wrózką na czele”, i to elementem obdarzonym wdziękami, powiedzmy, dyskusyjnej jakości. I tak dalej.

Tego rodzaju dziwy wywracają klasyczny baśniowy porządek do góry nogami. A to oznacza, że nie będzie tu dane czytelnikowi spocząć w sielskiej atmosferze kosmicznej sprawiedliwości, która nagradza czystość serca i myśli lub przynajmniej uszlachetnia cierpienie, zło zaś oddziela wyraźnie od dobra. Zawodzą w świecie antybaśni prawa znane nam z dziecięcych opowieści, antybaśniowy element ujawnia się najdobitniej w kpiarskim stylu, w karykaturalnym humorze, w degrengoladzie świata przedstawionego. W pierwszym, właściwym cyklu, antybaśni to wszystko rzeczywistości śmieszny, chociaż gdyby zastanowić się nad naturą tego rozbawienia – niewątpliwie wydałaby się ona co najmniej podejrzana. Nie może być inaczej: aluzje do rzeczywistości zbyt często sięgają do znanych nam z mniej lub bardziej bezpośredniego doświadczenia przypadków, na myśl o których zwykliśmy na co dzień zgrzytać zębami. Śmiech oswaja tu zatem i w pewien sposób unieważnia głupstwa codzienności. Nic dziwnego – „Antybaśnie z 1001 dnia” wywodzą się przecież bezpośrednio z tradycji społeczno-politycznej satyry i takiegoż kabaretu.

Odniosłem jednak wrażenie, że tradycja ta zawodzi w drugim z antybaśniowych cykli, zawarte w tomie „Wiekopomne czyny genialnego detektywa Arthura Darlingtona”, pozbawione są kpiarskiej lekkości wcześniejszych opowieści i w konfrontacji z nimi, miast bawić – nużą. Pomysły wydają się jakby zwietrzałe, humor – banalny. Ta część na pewno nie zachwyca.

Zastanawiam się również nad pomysłem fabularnego obudowania właściwych antybaśni. Wolski wykorzystał ramową konstrukcję do skomplikowania relacji wewnątrz świata przedstawionego (powiedzmy, że fikcyjny status Amirandy zostaje



zakwestionowany), a także do otwarcia struktury utworu – zawieszona wątki mają być kontynuowane w kolejnej książce pt. „Włóczędzy czasoprzestrzeni”. Wykorzystując znany motyw książki w książce – zarazem więc książki o książce – wprowadza autor zupełnie odrębne porządki, które nijak do siebie nie przystają. Dwa wzajemnie zależne układy fabularne różnią się środkami wyrazu tak bardzo, że trudno oprzeć się wrażeniu lekturowego dysonansu. O ile bowiem w przypadku wyimków z amirandzkiej historii kpina i groteska kształtują pełnię obrazu, o tyle wyczynny Marka Kazimierzaka relacjonowane są już w tonie poważniejszym (choć nadal niepozbawionym humoru), co wydaje się zresztą wyraźną intencją autora. Związek obu porządków okazuje się czysto mechaniczny, sztuczny i wymuszony, i mimo iż fabuła wyraźnie taki rozdzwięk sankcjonuje, wrażenie niespójności w odbiorze całego tomu pozostaje.

Powiedzmy sobie jednak wprost: to antybaśnie stanowią rdzeń tej książki, to one objętościowo dominują, przyćmiewając resztę. Przypuszczam, że można sobie uczynić ze zbioru samych antybaśni autonomiczną lekturę bez szkody dla radości czerpanej z przewracania kolejnych stron (do takiej zresztą koncepcji blisko było pierwotnemu wydaniu książki). A że teraz dostajemy jeszcze coś dodatkowo? Cóż, nadmiar w tym wypadku nie powinien zaszkodzić.

Warto zatem zawitać do trapezoidalnego królestwa. Jeżeli więc tak się niefortunnie złożyło, że nie zdołałeś, Szanowny Czytelniku, zlokalizować w swojej szafie tajemnego przejścia do amirandzkiej rzeczywistości, nie pozostaje Ci nic innego, jak sięgnąć po tom prozy Marcina Wolskiego, by przekonać się, jakie to atrakcje Cię ominęły.

Marek Pustowaruk (www.gildia.com)

Marcin Wolski Antybaśnie z 1001 dnia. Wydawnictwo SuperNOWA, Warszawa 2004. 335 str.

NADGORLIWY PAN GATES

Lubię pisać na komputerze. Fajnie się poprawia, blokuje, przenosi etc. Mądre urządzenie!

Chwilami – niestety nawet „zbyt mądre”!

Do furii doprowadzała mnie opcja „poprawiania” – która z „Kaczmareckiego” robi „Karczmarskiego”, z „Wysockiego” – „Wysokiego”, z „Łapińskiego” – „Łacińskiego”, a z „Batmana”... „Barmana”. Trudno się potem odławia takie „kwiatki”, zwł. we własnych tekstach (w których wszak najtrudniej wylapać literówki). Udało mi się wreszcie wyłączyć to cholerstwo (mogę odpowiadać za swoje błędy - ale nie za maszynę!), lecz w ostatnich dwóch „Archiwach” jeszcze „Aleksander Majkowski” zdążył pójść jako „Makowski”, a „Anna Matuszewska” jako „Matuszewska” (bardzo Panią Profesor za to niedopatrzenie przepraszam!).

Cały czas dreczy mnie inna opcja, nie wiem z czego wynikająca. Często, gdy po jakimś kilkuliterowym wyrazie piszę wyraz jednoliterowy („w”, „z”, „o”, „i”) – owa jednoliterówka znika, a w jej miejsce pojawia się... powtórzenie tego wcześniejszego wyrazu (np. zamiast: „...na Kaszubach w XIX wieku...” – mamy: „...na Kaszubach Kaszubach XIX wieku...”). Takich parę „perełek” poszło ostatnio; a tu, jak dotąd, nikt nie potrafi mi pomóc.

Oczywiście, podczas każdego z kolegów redakcyjnych robimy staranną korektę tekstów i większość „chochlików” wylapujemy – jednak coś-tam zawsze umknie uwadze (a potem, „na czysto”, wpada w oczy natychmiast!).

Czemu jednak spece z „Microsoftu” jeszcze nam rzucają kłody pod nogi?

JPP



SNOT ZONE

Wyniki turnieju Warhammera 40,000

który odbył się 29 sierpnia w Gdyni, podczas konwentu TrójFikcje

1. Lukasz Węglowski Iron Warriors **SNOT**
2. Sławomir Michniewski Necrons **SNOT**
3. Miłosz Dziembowski Blood Angels **SNOT**
4. Paweł Gorczyński Dark Eldars Sopot
5. Błażej Rajkowski Necrons **SNOT**
6. Adam Rzymowski Biel-Tann **SNOT**
7. Sławomir Seta Dark Eldar **SNOT**
8. Krzysztof Piszcz Tau Gdynia
9. Krzysztof Filipowicz Witch Hunters **SNOT**
10. Julek Kapka Emperor's Children **SNOT**
11. Jan Cieslicki Tau Gdynia
12. Michał Korda World Eaters Gdynia
13. Michał Krzeminski Tyranids **SNOT**



Turniej LoTR

Turniej odbędzie się 12 września 2004r. o godz. 10.00 w Gdańsku na ul. Opolskiej 2.

Turniej Warhammer 40,000

Turniej odbędzie się 19 września 2004r. o godz. 10.00 w Gdańsku na ul. Opolskiej 2.

1. Dopuszczone armie

- Do turnieju dopuszczone zostaną armie liczące nie więcej niż 1500 punktów, zbudowane według Standard Force Organisation Chart (tylko jeden detachment).
- Dopuszczone są wszystkie armie oficjalne (włączając w to Wych Cult i Index Astartes), oraz Recommended Optional (włączając w to Armoured Company i Cursed Founding).
- Można korzystać z sojuszników (takich jak np. Deathwatch Kill Team).
- Nie można korzystać z Codex:Assasins.
- Można korzystać z jednostek z Imperial Armour za wyjątkiem: pojazdów typu Super Heavy i Flyers oraz Gargantuan Creatures.
- Nie można używać bohaterów specjalnych (nawet tych, na których nie jest wymagana zgoda przeciwnika). Zakaz ten nie dotyczy Emperor's Champion.

2. Na turnieju obowiązują Space Marines Command Groups z Chapter Aproved.

3. Podczas turnieju obowiązywać będzie zasada rozbitcia: jeżeli w dowolnym momencie bitwy liczebność armii któregoś z graczy spadnie poniżej 25% stanu początkowego – jest ona traktowana jako rozbita. Przeciwnik otrzymuje za to +300VP, gra natomiast toczy się do końca.

4. Gracze zobowiązani są posiadać czytelną rozpiskę, zawierającą statystyki jednostek, oraz kodeksy/zasady swojej armii, a oprócz tego także kostki i miarki oraz wzorniki.

5. Tereny na stołach ustawiają sędziowie i tylko oni mogą je zmieniać.

6. Gracze przyłapani na ewidentnym oszustwie (nieautoryzowana zmiana terenu, używanie sprzętu nie ujętego w rozpisce, rażące naruszenie zasad gry), otrzymują automatyczną masakrę w bitwie w której oszukiwali (1201:0 vp.). Przyłapanie na oszustwie po raz drugi skutkuje dyskwalifikacją.

7. Awanturowanie się na turnieju grozi dyskwalifikacją.

8. Od decyzji sędziego można się odwołać do sędziego głównego. Sędzia główny ma zawsze rację.

9. Jeżeli sędzia główny nie ma racji, patrz pkt.8.

10. W czasie turnieju zostaną rozegrane trzy (jeśli starczy czasu to cztery) bitwy według zmodyfikowanego scenariusza Dawn Assault.

Modyfikacje:

– używana jest zasada specjalna Victory Points, które można otrzymać także za kontrolowanie ćwiartek, przy czym za kontrolowanie własnej ćwiartki otrzymuje się 200 pkt., za poboczną po 250, za kontrolowanie ćwiartki przeciwnika 300 pkt.

– jednostki muszą być wystawione ponad 9 cali od środka stołu

11. Punktacja

a) Punkty za bitwy przyznaje się na podstawie poniższej tabeli.

Różnica punktów	Wynik
0-250	Remis (10:10)
251-600	Małe zwycięstwo (13:7)
601-1200	Duże zwycięstwo (17:3)
+1201	Masakra (20:0)



b) Punkty za malowanie:

Jeśli armia jest w całości pomalowana, gracz otrzymuje +10 pkt.

c) Punkty za WYSIWYG

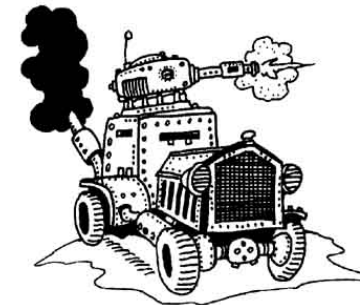
Jeśli armia posiada w całości WYSIWYG, gracz otrzymuje +15 pkt.

Wszelkie pytania kierować pod yedli@go2.pl.

Grand Tournament

W dniach 20-21 listopada w Warszawie, w hali sportowej na Targówku, ma się odbyć Grand Tournament, pierwszy w historii dla Europy Wschodniej.

Dopuszczone będą armie: do Warhammera nie większe niż 2000 pkt, do Warhammera 40,000 nie większe niż 1800 pkt. Swój udział zapowiedzieli gracze z Ukrainy, Czech, Węgier, Niemiec oraz RPA (!). Oplata za wstęp - 45 PLN lub 10 Euro. Widzowie niemile widziani. Więcej szczegółów na stronie internetowej: <http://www.gt.pl.hg.pl>.



Obrona Przewodniaka

Upał daje się we znaki nawet w lesie. Po kilku godzinach trwania w upale puszcza wszystko, zwłaszcza zdrowy rozsądek. Skąd niby ma być zdrowy, jak spieniony i nadpalony? Dlatego, kiedy spacyfikowani "Łomżą" przez Macieja B., siedzieliśmy i gaworzyliśmy o bycie i innych głupotach, i na tym samym tle Papierz nagle powiedział: „A Przewodniak podpadł tak dużej ilości ludzi, że musi być odstawion na boczny tor”, to ja nagle usłyszałem siebie mówiącego: „A niby dlaczego! Demokracja już się nam znudziła?”.

A cwany Papierz na to: „Czyżbyś Go bronił?” A ja, zmiędlony upałem: „Pewnie, że tak!”. Na to Papierz już dużo nie gadał, tylko wyznaczył termin. Dokładnie w terminie przysłał upomnienie. Zaraz potem w mojej piwnicy pękła rura...

„Pękła!! Sama?..” – znam ja Jego metody papieskie...

Nie mędrkowałem więc już, tylko przycupnąłem przy biurku i zacząłem katować klawiszki poniższym tekstem.

Sprawa nie jest łatwa. Nie jest łatwy taki tekst obrońcy. Dlatego postąpiłem racjonalnie i rasowo – i najpierw zanotowałem sobie motywy przewodnie takiej obrony.

Czyli:

- Czy i dlaczego należy Przewodniaka bronić?
- Dlaczego ja?
- Przed kim?
- Po co?
- Za co?

Przez bombardowany znowu upałem umysł przemykały zaledwie cienie myśli, przesączały się przez dziurawe sieci zaganiające je do tej części głowy, gdzie powlekają się skorupą werbalną i, już jako gotowe zdania, czekają na przelanie w de. W dysk.

Po pierwsze, dogoniłem taką myśl jedną myśl, dlaczego niby ja, dlaczego się zgodziłem? Przecież jestem jedną z pierwszych spostonowanych werbalnie przez Przewodniaka osób, choć może już wcześniej kogoś określił, nie słyszałem. Natomiast kiedy siedział w knajpie konwentowej, emitując co jakiś czas zawołanie: „Gieno, ty grafomanie!” – to ja to słyszałem. Dodatkowo, rok czy dwa lata później, a może i trzy lata (pamiętliwy jest Przewodniak!), wysłał do mnie SMS-a, było to w czasie Krakonu, późną nocą, musiało mu być wesoło... Treść jak wyżej. Aż dziw, że nie chciało mu się jakoś tego rozwinąć? Może nie miał czasu, może – popiszę się tu złośliwością – skorzystał, że ktoś wyszedł do WC i szybko wystukał, na pozostawionej na stole komóreczce, rzeczony „Gieno, ty grafomanie!”.

W każdym razie jako osoba dotknięta glutem Przewodniaka uznałem, że mam prawo wypowiedzieć się w drugą stronę. Tym sposobem załatwiłem tę część, znaczący pytanie „dlaczego ja?”

A dlaczego należy... Cóż, to wydaje się proste i łatwe. Każdy może mieć zdanie, nawet swoje, i nawet Przewodniak. To jakby cecha demokracji. Nie musi mu się podobać moja pisanina, nie musi lubić twórczości pani/pana A., B., C.... i W. i Z. Pewnie, byłoby elegancko, gdyby opinie były serwowane w pewnym kulturalnym „anturażu”, jakimiś cywilizowanymi słowami. Nie: „ten głupek”, „ta ignorantka”, „ci debile” i „te pijaczki” (to nie są cytaty, nie szukajcie ich nigdzie). Byłoby fajnie, ale może świat nie jest taki cacany, może nie ma co czekać na kulturkę, bo jak już jest, to zawsze ktoś wyskoczy z oskarżeniem o lukier, wdzięcznienie się i ukoteryjnienie. Może Mu się wydaje, że jego recenzje są tylko chropawe i szorstkie? A może, że co się będzie szczypał?

Przed kim Przewodniaka bronić? No, przed tymi, co ich dotknął, których rozjuszył, których mrowisko rozwiercił kijem, kilka razy. Pisząc niepochlebne recenzje z dzieł autorów zaprzyjaźnionych. Pisze jednak tylko niepozytywne, to już można by przywyknąć i się nie przejmować. Zwłaszcza że merytoryczne uwagi Przewodniaka rodzą się nie z czytania tekstu, o nie! One się rodzą z zawiści. On widzi książkę pani Ł. i myśli: „A to franca, wydała! Na dodatek ma ładne nogi, ładniejsze od moich. No to ja jej...”. Zaczynam pisać: „Licha fabuła. Kiepski język. Wątpliwe dialogi, papierowe postacie...”. I tak dalej. Totalny Zawistniak. Popatrzmy więc, przed kim powinienem Przewodniaka bronić?

Przed wszystkimi.

Za mojej – kiepskiej – przyznaję, pamięci polał wszystkich. Z wyjątkami. Nie pamiętam, by ruszył Asa, no – wiadomo, zbyt duży krąg miłośników twórczości, naraziłby się potężnie, co mogłoby się odbić. Pewnie dlatego Andrzeja – jednak nie. Chyba nie dotknął Kresa, może Kres za silny, albo na takiego wygląda. Poza tym chodzi z gazowcem. Nie dźgnął też Ziemiańskiego, ale ten ma pozwolenie na broń nastojaszczą.

Innych już można.

Można Ziemiakowicza, bo się ciągle pokazuje w RTV, a po co?

Można Kołodziejczaka, bo za wysoki, najwyższy wśród autorów, kto mu pozwolili?!

Inglota można. Można, bo – sam widziałem – dostał w Warszawie statujkę, i co zrobił Przewodniak wściekły, że nie on ją posiadał? Wysypał wypełniający ją pył w kufel piwa Jacka I. Zaiste, szczyt jaj, powiecie. Nie. Szczyt nastąpił godzinę później, kiedy Przewodniak zaskoczył Jacka i wywalił go wraz z ławką w krzaki. Chyba tylko z zawiści o dobry w tym momencie humor Jacka.

Można używać na autorkach. To już jasne, na pewno mają więcej wdzięku, a niby czemu? Komu przeszkadzało, żeby to On miał wdzięk, nogi i biust?!

Och, nie wiem, czy chce mi się jeszcze ciągnąć tę listę!

Oczywiście, należy wspomnieć, że w surowej ocenie twórczości mojej i Marka O. nie chodzi wcale o literki i słówka. Ani przekonujące teksty Przewodniaka, ani garście cytatów, jakie nosi w kieszeniach swojej chlamidy (rosyjskie – *bałachon*, lepiej oddaje upiorny wdzięk czarno-karmazynowego Jego okrycia) nie zamaskują prawdziwych intencji, o nie. Powiedzmy w skrócie, że sprawa ma charakter gentlemański. Bo o czym gentlemani nie rozmawiają? O pieniądzach, wiadomo. W tym przypadku jednak nie o pieniądze chodzi. O czym jeszcze gentlemani nie gadają? No właśnie. I tu się zgina dziób Murzyna...

Reasumując – wyszło mi, że należy Przewodniaka bronić przed każdym. Przede wszystkim jednak przed nim samym, bo się płacze i może sobie kiedyś wyrządzić krzywdę. Jakiś czas temu bywał gęsto w Zielonej Górze, wtedy nie uważał, że to prowincja, a przecież Bachanalia miały rozmach mniejszy niż – jak sądzę – Polkon. Ponieważ jednak bywał zapraszany, to nie marudził. Pamiętam również, że podczas takiego konwentu mówił do mnie „mistrzu”. Pod wpływem jednak okoliczności jakichś zmienił zdanie i co do Zielonej Góry, i co do Dębskiego. *Chrien s nim!*

Należy również bronić Go przed każdym, kto napisał cokolwiek, a już tym bardziej wydał cokolwiek. Świat według Przewodniaka, to taki ma być, żeby wydawali wszystkim i wszystko, pod warunkiem, że to będzie Przewodniak pisał i wydawał. I zbierał laury, i nagrody, i będzie wielbiony i wybitnie opłacany...

Przejdźmy do kolejnego punktu. Po co Go bronić? To proste – ponieważ sam się nie obroni. Harda dusza, nieokielznana, tłum się na niego rzuci, wszystkich nie zgasi. Nierówna walka, sam na resztę. Niby można się zastanowić, po co w takim razie się porywa? No, wolno mu. Chce, to porywa. Ale może stosunek sił, czyli silny stosunek... No nie, nie tak powinno się go bronić. Zastanowię się jeszcze chwilę.

Tymczasem dalej...

Za co?

Hm... Właśnie. Przeczytałem do końca i z uwagą (a na początku nawet z pewną nadzieją!) jedną jeno Jego rzecz. Im bliżej było końca, tym mniej we mnie zostawało nadziei... Nieważne. Napisałem recenzję, bo była zamówiona. Starłem się napisać tak, by do autora dotarło, że coś skisnął... A jednocześnie – nie pała w łeb, tylko subtelnie.

Przesadziłem w subtelnościach. Minęło kilka dobrych lat – i oto Przewodniak pyta mnie (jeszcze nie wkurzałem go swoim istnieniem): „To ty w końcu w tej recenzji mnie rugasz czy chwalisz?”. Ma, chłop, pamięć.

Może za tę pamięć Go bronić? Wątpliwy to powód, wielu ludzi ma lepszą pamięć...

I nie bronię ich za to.

Może bronić Go za to, że jest – jak sam napisał na liście dyskusyjnej – w Fandomie od 1982 roku? Co prawda, nie wiedziałem, że Fandom jako taki istniał już wtedy, pewnie powstał w chwili, kiedy Przewodniak doń przystąpił? Ale nieważne, staż do czegoś upoważnia. Tak, z grubsza sądzimy obaj, i Przewodniak, i ja. Tylko trochę inaczej uważamy. Moim zdaniem staż **do czegoś zobowiązuje**, jego – że **na coś pozwala**.

No to sobie pozwala.

No i na tym kończą się pytania, na bazie których zasadzi się obrona Przewodniaka...

Obrona...

Ale wiecie co, jak sobie to przeczytałem, to mi wyszło, że gdybym Go bronił, to byłbym idiotą. A nie jestem. Więc, Krzysiu, wybac, ale obrona Przewodniaka – odpada!

Poza tym On sobie sam poradzi. A jak nie – zawsze może sięgnąć do chamstwa, obmowy i kłamstwa. Zależy, jak bardzo jest zdesperowany... Może sięgnąć, co już mu się zdarzało, jednemu z polskich autorów, do rękoczynów.

Dorobi się nowej ksywki. Przygłupas...

Grafoman (ukrywający się pod pseudonimem EuGeniusz Dębski)



SPRAWA „ODLOTÓW” PRZEWODASA – KILKA SŁÓW OD NACZELNEGO

Chcę się wypowiedzieć, ostatni i podsumowujący raz, w kwestii „Odlotów Przewodasa”; tj. najpierw zamieszczania ich na tych łamach, potem – zaprzestania ich druku.

Jestem przeciwnikiem tworzenia pisma urzędowego i „letniego”, gdyż takie założenie odbierałoby możliwość publikowania jakiegokolwiek krytyki i zmieniłoby nasz periodyk w biuletyn towarzystwa wzajemnej adoracji. To „aksjomat” subiektywny.

Z drugiej strony – „Informator” nie jest prywatnym pismem członków redakcji, ale oficjalnym organem stowarzyszenia o nazwie GKF. To „aksjomat” obiektywny.

Ja jestem osobą, która zaproponowała Konradowi przysyłanie „Odlotów”. Należę też do tej połowy redakcji (obok Krzysztofa), która głosowała „za” puszczaniem jego kolejnych tekstów, nawet tych bardziej kontrowersyjnych (w imię pierwszego z „aksjomatów”; jak też dlatego, iż uważam, że Konrad ma świetne pióro).

Gdy jednak sytuacja w fandomie stała się na tyle napięta, że co bardziej subiektywne filipiki Konrada zaczęły działać (zapewne wbrew intencji piszącego) na szkodę GKF-u – musieliśmy podjąć decyzję o rezygnacji z tej rubryki. Całą sprawę rzeczowo wyłożyliśmy Konradowi w skierowanym do niego liście.

Widać paradoksem natury ludzkiej jest to, iż Konrad – tak bezpardonowo atakujący innych – obraził się na nas śmiertelnie (a na piszącego te słowa chyba w szczególności) o ów, naprawdę nieobelżywy, list. Zamiast starać się zrozumieć nasze racje – doszukał się zaraz i jakiegoś ataku personalnego ze strony „Informatora”, i jakichś niejasnych układów ze strony GKF-u.

My tacy obrażliwi nie jesteśmy: jeśli tak inteligentny facet lepiej się czuje szukając wrogów tam, gdzie ich nie ma oraz układając sobie spiskową teorię dziejów – jego zbrojnickie prawo...

Ja podpadnę pewnie teraz wszystkim (widać taki los „rednacza”) stwierdzeniem, że (cytując Edith Piaf) – nie żałuję niczego. Ani tego, że „Odloty” zamówił. Ani tego, że ich już nie drukujemy.

Nie, nieprawda: żałuję dwóch rzeczy.

Tego, że Konrad tak szybko odszedł od konwencji „Ataku na Recepcję Śmierci”.

I tego, że w przedostatnim „Odlocie” nie zapaliła mi się „czerwona lampka” przy jednym, wyjątkowo niefortunnym, sformułowaniu Konrada – na pewno bym zastosował tu jakiś zabieg redakcyjny (acz tekst bym puścił: nie jestem, jak pisałem, zwolennikiem drukowania tylko pochwalnych recenzji; zresztą rzeczonych utworów akurat nie czytałem).

Z mojej strony to absolutnie i ostatecznie wszystko –

Jan Plata-Przechlewski

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

**INFORMATOR
183**

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

ADRES INTERNETOWY „INFORMATORA”: informator@gkf.art.pl

STRONA GKF: www.gkf.art.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Michał Szklarski (sekretarz redakcji), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

RYSUNKI: Christian Holl (5), Piotr Terszel (4, 19, 20, 27, 28, 31)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 400

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

**Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów
i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji**